POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 4-go grudnia 1943r.*** | **Rok V. Nr. 48**

DWA LISTOPADY

Pomysłowość dr. Goebbelsa stanowczo wyczerpuje się. Najnowsze jego chwyty propagandowe świadczą o tym wymownie.

W ostatnich tygodniach główny wysiłek propagandy niemieckiej obracał się dokoła ukucia kapitału z . . . rocznicy klęski 1918 roku. Najpierw dzień w dzień każde niemieckie pismo i każdy mówca narodowo-socjalistyczny przeprowadzał porównania między listopadem 1918, a listopadem 1943. Od Hitlera począwszy, a na ostatnim pisemku lokalnym skończywszy, wykazywano, że armia niemiecka nie została w 1918 roku zwyciężona, że zadane jej zostało uderzenie sztyletem w plecy, że najczarniejszym dniem nie był 11 listopada, lecz 9 listopada — dzień rewolucji w Niemczech, że cesarz i rząd byli słabi i dlatego skapitulowali. Natomiast Hitler nie skapituluje nigdy.

Jednocześnie głoszono, że sojusznicy są przekonani o nowej rewolucji niemieckiej i załamaniu się Niemiec w dniu 9 lub 11 listopada. A gdy dzień ten minął, propaganda niemiecka uderzyła w ton triumfu. “*Das Schwarze Korps*” dumnie stwierdził, że w rocznicę buntu w Kilonii nie nastąpiła rewolucja, nie wybuchł strajk generalny, nie było żadnego buntu. “Pan groszorób z Alabamy” /dlaczego z Alabamy — Bóg to raczy wiedzieć/ na próżno słuchał przez cały dzień radia, oczekując wiadomości o rewolucji w Niemczech. Rachuby przeciwnika zostały przekreślone.

Ponieważ w 1918 Niemcy wojny nie przegrali, a jedynie skapitulowali na skutek rewolucji, ponieważ dalej teraz rewolucja nie jest możliwa, więc wniosek jest jasny: teraz zwycięstwa Niemcy nie dadzą sobie wydrzeć. Oto, w co ma wierzyć naród niemiecki. Droga do wiary w zwycięstwo, obrana przez dr. Goebbelsa, jest — mówiąc oględnie — nader okrężna.

W rzeczywistości z wydarzeń w listopadzie 1918 płyną wnioski całkiem inne, niż by to propagandzie niemieckiej odpowiadało. Ale — przede wszystkim — jak to było naprawdę w roku 1918? Czy rzeczywiście rewolucja w Niemczech stała się przyczyną klęski Niemiec? Warto do tych rzeczy na chwilę powrócić, bo 25 lat propagandy niemieckiej, pieczołowicie notującej legendę o “ciosie w plecy,” wywołało zamęt w wielu umysłach.

Otóż w rzeczywistości rewolucja niemiecka była nie przyczyną, ale skutkiem klęski na polu bitwy. Wybuchła ona w chwili, gdy rozkład państwa, a zwłaszcza armii był już daleko posunięty. Gdyby nawet nie było rewolucji i tak kapitulacja Niemiec nastąpiłaby w tym samym czasie. Ba, pełnomocnicy niemieccy dla podpisania zawieszenia broni byli w Rethondes już rankiem 8 listopada, a więc przed decydującymi wypadkami rewolucyjnymi.

Ludendorff nazajutrz po “czarnym dniu” 8 sierpnia wiedział, że wojna jest przegrana. W pamiętnikach swych pisze: “Meldowano mi wypadki, których nie uważałbym w armii niemieckiej za możliwe . . . Cofające się oddziały wołały pod adresem dywizji ruszającej do ataku: Łamistrajki!”

Od sierpnia począwszy “moral” armii niemieckiej załamywał się. Niemieccy generałowie widząc nieuniknioną klęskę, domagali się — dla ratowania egzystencji narodu — rokowań pokojowych. Wyraził to najlepiej najzdolniejszy z dowodców grupy armii, ks. Rupprecht Bawarski, który 15 września 1918 pisał: “Nie wierzę już, byśmy mogli przetrzymać zimę; katastrofa nastąpić może nawet wcześniej . . . Musimy więc dla uniknięcia katastrofy wojskowej, którąby zrujnowała całą naszą przyszłość jako narodu, pośpiesznie zwrócić się do naszych wrogów, a zwłaszcza do Anglii, z propozycjami pokojowymi.”

1-go października Ludendorff aż trzy razy przynaglał urząd spraw zagranicznych o natychmiastowe wysłanie oferty pokojowej. “ . . . Każdej chwili może nastąpić przełamanie frontu . . . Armia nie może czekać nawet 48 godzin dłużej.”

Prawda o listopadzie 1918 jest więc prosta. Armia niemiecka, po straszliwym upływie krwi w wyniku ofensywy wiosennej, była bliska załamania. Dowódcy słusznie rozumowali, że przedłużanie wojny nie może dać niczego poza zagrożeniem bytu narodu. Do tego doszło załamanie się sojuszników Niemiec, zapoczątkowane kapitulacją Bułgarii 26 września. Rezerw dla ratowania sytuacji na innych frontach nie było. Dla rokowań z Koalicją trzeba było nowych ludzi. Zaczęła się więc rewolucja “z góry,” która w pewnym momencie wymknęła się z rąk kierownictwa drugiej Rzeszy. I tak nastąpiły wypadki rewolucyjne, będące — powtarzamy — wynikiem, a nie przyczyną klęski.

Tylko mając stale w pamięci rzeczywisty przebieg i wzajemną zależność wypadków z listopada 1918, możemy z pożytkiem przeprowadzać porównanie z sytuacją obecną. Oczywiście musimy uwzględniać możliwość, że tym razem kolej wypadków będzie inna, niż w 1918 roku. Obecna wojna jest zasadniczo odmienna od poprzedniej na skutek istnienia frontu powietrznego. Bombardowania mogą doprowadzić do załamania się Niemiec, pomimo iż wojska niemieckie nie będą w takim stanie, w jakim były przed 25 laty. Ale nawet i w tym wypadku momentem przełomowym będzie uznanie przez generalicję niemiecką, że wojna jest przegrana. Musi przyjść chwila, gdy następcy Ludendorffa, Hindenburga czy Rupprechta dojdą do tych samych wniosków, które skłoniły ówczesnych dowódców do żądania pokoju. Mogą to uczynić z powodu demoralizacji społeczeństwa, kryzysu produkcji i t.d. równie dobrze, jak z powodu demoralizacji armii i braku rezerw, ale w każdym razie ta ich decyzja będzie początkiem rozstrzygających wydarzeń.

Czy już dziś są tego zdania? Trudno sobie wyobrazić, aby ludzie tak trzeźwi, jak dowódcy niemieccy, nie zdawali sobie sprawy z tego, że Niemcy wojnę już przegrały. Ale też jest rzeczą prawdopodobną, że nie uważają jeszcze zawieszenia broni za rzecz tak naglącą, jak w październiku 1918. Zapewne stoją na stanowisku, że warto jeszcze grać na zwłokę i że za parę miesięcy uda się może uzyskać lepsze warunki.

Biorą przy tym pod uwagę “moral” armii niemieckiej, który jest prawdopodobnie lepszy, niż na jesieni 1918; na żadnym z frontów nie ma przecież masowego poddawania się. Tak samo stan rezerw niemieckich, mimo strat większych, niż w tamtej wojnie, wydaje się być lepszy, niż wówczas; świadczy o tym zdolność Niemców do opanowania sytuacji, wywołanej kapitulacją Włoch. W 1918 nie byli w stanie podobnie zareagować na kapitulację Bułgarii. Jeśli chodzi o bombardowania, produkcja jeszcze nie weszła w fazę krytyczną, a “moral” ludności jest jeszcze podtrzymywany przez zapowiedzi odwetu.

Dlatego zapewne generałowie niemieccy jeszcze nie domagają się kapitulacji. Gdy jednak dojdą do wniosku, że dalsza gra na zwłokę jest bezcelowa i że trzeba ratować “egzystencję narodu” oraz resztki jego zasobów ludzkich czy materialnych, bądź przed armiami, bądź też przed lotnictwem sojuszniczym — co wówczas?

Nie ma powodu nie wierzyć Hitlerowi, gdy mówi, że nie skapituluje nigdy. Jego ostatnia mowa rzuca sporo światła na stan jego umysłu. Ujawnia ona z jednej strony fanatyzm i determinację, z drugiej zaś jego coraz większą megalomanię. Rośnie jego przekonanie, że jest . . . narzędziem Opatrzności. Uwydatnia się jego obojętność dla doli narodu, który mu powierzył swe losy. Charakterystyczne były jego słowa, że: “Gdyby naród niemiecki teraz załamał się, to /on, Hitler/ nie uroniłby nad nim ani jednej łzy, gdyż zasłużyłby na swój los.” Równie charakterystyczne były słowa: “Nie skapitulujemy nigdy. Nie poddamy się o godzinie jedenastej. Będziemy walczyli dalej nawet po dwunastej.” To “po dwunastej,” zapowiada walkę nawet, gdy nie będzie żadnych szans i ceną będzie kompletna ruina narodu.

Pod tym względem sytuacja jest więc niewątpliwie inna, niż w 1918 roku. Hitler nie zamierza pójść w ślady cesarza. Wie zresztą, że nie dokończyłby spokojnie życia w jakimś nowym Doorn.

Jeśli by więc to zależało tylko od Hitlera, nie było by kapitulacji Niemiec w okolicznościach przypominających listopad 1918. Mozna by wówczas powiedzieć, że naprawdę Hitler jest narzędziem Opatrzności: bardziej, niż ktokolwiek przyczyniłby się do zniszczenia Niemiec! Pozostaje zagadnienie, co zrobiliby wówczas generałowie niemieccy, przekonani, że dalsze prowadzenie wojny, to ruina całej przyszłości narodu niemieckiego.

Lord Vansittart wysunął ostatnio tezę, że w tym wypadku generałowie nie zawahają się zamordować Hitlera i innych przewódców hitlerowskich. Możliwości takiej nie należy oczywiście wykluczać. Hitler niewątpliwie obawia się jakiegoś niemieckiego Badoglio. Z drugiej jednak strony trzeba także brać pod uwagę fakt, że generałowie niemieccy nie będą chcieli obarczać swego konta odpowiedzialnością za klęskę; będą oni woleli, aby kapitulacji dokonali hitlerowcy. W delegacji niemieckiej, która 11 listopada podpisała zawieszenie broni, armia w ogóle nie była reprezentowana, co ułatwiło jej później lansowanie legendy, iż nie była pokonana w polu. Teraz zapewne będzie istniała podobna dążność. Sojusznicy będą musieli dbać o to, aby na akcie kapitulacji nie zabrakło podpisów reprezentantów *Wehrmachtu*. Ale w każdym razie nie powinno być niespodzianką, jeśliby generałowie do ostatniej chwili pozostawili rządy — partii.

Jak w takim razie generałowie zmusiliby Hitlera i jego klikę do kapitulacji? Trudno bawić się w proroctwa, ale można sobie wyobrazić n.p. powtórzenie się na większą skalę Tunisu: po prostu armia złożyłaby broń.

W każdym razie Niemiec, który się nad tym wszystkim zastanowi, nie będzie mógł się cieszyć z tego, że 9 czy 11 listopada nie powtórzyły się wypadki sprzed 25 lat. Musi sobie powiedzieć, że im bardziej kapitulacja będzie się opóźniać, tym gorzej dla narodu niemieckiego.

Jest rzeczą Sojuszników przekonać o tym Niemców nowymi ciosami na lądzie i z powietrza.

ALEKSANDER BORAY

Dnia 29-go listopada 1939-go roku w obozie Armii Polskiej we Francji Coëtquidan ukazał się pierwszy numer “Polski Walczącej.” W lutym 1940-go roku z pisma jednego obozu stała się ona pismem Polskich Sił Zbrojnych.

ułożył JAN POLIŃSKI



UDERZENIE W BERLIN

Marszałek lotnictwa Sir Arthur Harris, dowódca Bomber Command przesłał do robotników fabryk amunicji wezwanie, ażeby pracowali jeszcze sprawniej, przyczyniając się do dalszych powodzeń RAF'u. Zaznaczył on, że Bomber Command przez cztery lata przygotowywało się do ataku, który wymierzyło obecnie w Berlin i inne miasta Rzeszy. "*W ciągu ośmiu dni* — powiedział Sir Arthur — *Berlin zużył* 6.000 *ton bomb kruszących i zapalających.*"

Ostatnie uderzenia RAF'u na Berlin przedstawiają się istotnie imponująco. Rzucono do walki olbrzymie siły, ładunek bomb był wręcz potworny, a odcinek, na którym atak skoncentrowano był niewielki. Od Bramy Brandenburskiej do Alexanderplatz nie może być więcej nad 2 km., a tam przecież skupił się atak brytyjski. Oczywiście, i inne dzielnice miasta poszły pod nóż /jak obszar koło Zoo/, ale przede wszystkim i głównie zaatakowano śródmieście, centrum administracji, ośrodek ministerstw i t.d. Cały ten obszar leży dzisiaj w gruzach, a sceny jakie działy się w czasie poszczególnych nocy w Berlinie były, jak donoszą świadkowie neutralni, wręcz dantejskie.

Wygląda na to, że w dalszych swoich działaniach RAF będzie niszczyć dalsze strefy miasta i że jest to działanie planowe. Jeżeli tak, to wówczas stalibyśmy w przededniu drugiej próby zniszczenia ośrodka państwa — pierwszą próbą był niemiecki atak na Londyn — przy czym jednak siły i sposoby jakimi rozporządza dzisiaj W. Brytania są o wiele, wiele większe, aniżeli armada niemiecka jesienią 1940-go i zimą oraz wiosną 1941-go. Wiemy, że próba niemiecka się nie powiodła i że Londyn nie został wyważony z zawiasów. Zobaczymy jak powiedzie się próba brytyjska.

Oczywiście, ataki brytyjskie muszą trwać jeszcze kilka tygodni, zanim będzie można powiedzieć o nich coś definitywnego. Obszar Berlina jest ogromny, budynki na ogół spore i mocniejsze, aniżeli domy Londynu, możliwości schronienia się lepsze /sklepione piwnice i t.d./. Obrona Berlina nie wydaje się tak dobra, jak by należało przypuszczać, co by dowodziło, że Rzesza nie potrafi już dzisiaj pokryć wszystkich swoich potrzeb w *night fighters* i że również działa przeciwlotnicze nie wiele pomagają, jeżeli atak jest tak skoncentrowany, jeżeli uderzenia bomb idą zbyt gęsto, jeżeli atak kieruje się zasadą "nasycania" /*saturation*/.

Atak brytyjski jest atakiem zarówno w "splot słoneczny" Rzeszy /w tych warunkach możliwe było by przeniesienie się władz Reichu do innego miasta; próby ogłoszenia Berlina miastem otwartym nie są wykluczone, chociaż wydają się z góry skazane na niepowodzenie i dlatego wątpić należy, czy władze niemieckie poszłyby na taką próbę/, jak i w postawę ludności. Nie wiemy, jakie meldunki ma wywiad brytyjski z obszaru Niemiec, ale najwidoczniej wszelakie świadectwa powiadają, że

Szkic sytuacyjny

t.zw. moral ludności nie jest świetny, że przeciwnie, pogarsza się, że wieści z frontu wchodniego są coraz gorsze i pogłębiają jeszcze ten stan przygnębienia.

Może być jednak i trzeci powód. Coraz częściej wspomina się o zabiegach pokojowych Rzeszy. Źródła amerykańskie powiadają, że starania przeprowadza się przez Watykan, że Ojciec św. odbył w tej sprawie szereg narad z przedstawicielami dyplomatycznymi przy Stolicy Św., że również w Sztokholmie czyni się w tej mierze jakieś próby. Bawi tam obecnie b. przedstawiciel Rzeszy w Rzymie von Bismarck, przebywa b. minister spraw zagr. Niemiec cesarskich von Kuehlmann, który podpisywał traktat brzeski z Rosją sowiecką a potem został usunięty ze swojego urzędu na skutek zabiegów o pokój z Anglią na wiosnę 1918-ego. Te wszystkie doniesienia świadczyłyby, że jednak istotnie czynione są jakieś zabiegi przez przedstawicieli dawnego, by tak rzec, stylu, że być może pewni dyplomaci niemieccy są już w kontakcie z Reichswehrą, że generałowie niemieccy wysuwają swoje macki przy pomocy tych właśnie dyplomatów.

OFERTA POKOJOWA — I CO DALEJ?

Uporczywe doniesienia, szczególnie amerykańskie kładą nacisk na fakt, że przedstawiciele niemieccy starają się wysondować opinię i zbadać, jakie warunki odpowiadałyby sojusznikom. Podobno niektórzy dyplomaci niemieccy mówią już o możliwości opuszczenia wszystkich krajów zajętych przez Rzeszę i cofnięcia się do granic z r. 1939-ego. Nawet Austria miałaby być uwolniona. Z drugiej strony grozi się — jeżeli warunki te nie zostaną przyjęte — zniszczeniem wszystkiego w odwrocie do granic Rzeszy. Już teraz niemieckie źródła powiadają, że podminowuje się wielkie połacie Paryża i że w razie odwrotu niszczyło by się miasta Francji, Holandii, Belgii.

Gdyby istotnie strona niemiecka, przy pomocy tych czy innych sposobów, starała się o zawieszenie broni, to dowodziło by, że jednak maszyna wojenna Rzeszy trzeszczy i że odpowiedzialne koła Rzeszy — co bynajmniej nie znaczy kierownicze koła Rzeszy — chcą uniknąć klęski. Gdyby istotnie tak było, to wówczas zrozumiały byłby pośpiech w spotkaniu Trzech, albowiem wówczas narada ich obracałaby się głównie wokół pytania, jakie warunki bezwarunkowego poddania przedstawić Rzeszy, czy czas rozpocząć rozmowy z niemieckim Badoglio, jaki plan zastosować do Rzeszy, jaki apel skierować do ludności Niemiec.

Przypominamy, że swojego czasu mówiło się, iż jeżeli dojdzie do spotkania "wielkiej trójki," to jednym z tematów będzie wystosowanie przez nią apelu do narodu niemieckiego. Dzisiaj doniesienia Reutera z Waszyngtonu /podane przez "*Observera*" z dnia 28.XI.1943/ powiadają, że jeżeli by doszło do spotkania trzech, to temat ich narad przedstawiałby się następujące:

1. czas, miejsce i sposób otwarcia drugiego frontu,
2. stosunek do Rzeszy,
3. granice powojenne, szczególnie granice Wschodu Europy.

Wydaje się, że jeżeli "wielka trójka" spotkała się — zagadnienie ofert niemieckich jest czy było na pierwszym miejscu. Bombardowania Berlina są akcją polityczną wówczas, czyli pierwszą niejako odpowiedzią na oferty niemieckie poparte groźbami wysadzenia Paryża, zniszczenia Belgii, Holandii, Norwegii.

BENESZ W MOSKWIE

Mało która wizyta była tak szeroko reklamowana jak wizyta, którą Dr. Benesz złoży czy już składa w Moskwie.

Oczywiście fakt, że Czechosłowacja podpisze pakt z Rosją na lat 20 jest dla polityki Dra Benesza dużym sukcesem. Dr. Benesz uważa, że stanie się dobroczyńcą Wschodu Europy i spokoju Europy. Pakt jego otwarty będzie dla wszystkich państw, przede wszystkim dla Polski, jak sugeruje prasa brytyjska. Dr. Benesz stałby się raz jeszcze postacią bardzo wpływową i jego to inicjatywa decydowałaby w dużej mierze — nie wiadomo jak długo — w Europie wschodniej.

Zobaczymy, czy wszystko pójdzie tak, jak zamierza i planuje polityka czeska, przytomna, zwrotna, realistyczna. W każdym razie sukcesy Benesza na Kremlu świadczyłyby, że torpeda wypuszczona w plan federacji na Wschodzie Europy rzucona była celnie i że zamiary innych państw organizowania tego obszaru są, jeżeli nie rozbite chwilowo, to w każdym razie bardzo zagrożone.

W LIBANIE SPOKOJNIEJ

Sytuacja w Libanie uspokoiła się. Wprawdzie prasa brytyjska zaznacza, że jeszcze nie wszystko jest tak, jak należy, ale z drugiej strony coraz więcej jest głosów zaznaczających, że jednak trzeba zrozumieć stanowisko Francji. W tej mierze piękne świadectwo rzeczowości dał n.p. Harold Nicolson w swoim szkicu w ostatnim nrze tygodnika "*Spectator*" /z dnia 26-ego b.m./.

Jakkolwiek przedstawiałyby się sprawy, faktem jest, że naprężenie francusko-brytyjskie jeszcze nie minęło i że w atmosferze światowej zbiera się coraz więcej napięcia. Sam de Gaulle ma coraz więcej trudności z komunistami, którzy oskarżają go, że "nie rozumie on demokracji." Być może, że komuniści mają rację: oni zrozumieli istotnie dobrze zarówno słabości demokracji, jak i sposoby szantażowania świata hasłami demokratycznymi.

Napięcia będą bodaj rosły. "*Economist*" z dnia 27-ego b.m. w artykule "Wielkie złudzenia" powiada, że jednak rozwiązanie sposobem "*Big Three*" nie jest najszczęśliwsze, albowiem wówczas trzeba się będzie uciekać do rozcinania wielu problemów siłą. Oczywiście, pismo londyńskie, stawiające każde zagadnienie rozważnie i poważnie, ma słuszność. Dlatego tytuł dany przez pismo londyńskie "Wielkie złudzenia" wydaje się szczególnie trafny. *Żeglujemy zdaje się znowu pod hasłem wielkich złudzeń*, że za węgłem, za rogiem czeka nas zbawienie, nowy, wspaniały świat, różowe jutro. Wiele natomiast dowodziło by, że *wojna obecna wkracza w okres, kiedy działania militarne są dalej jeszcze decydujące, ale zaczyna się już gra sił, która decydować już będzie o dobie pokoju* /czy też t.zw. pokoju, albowiem nie można przypuszczać, ażeby istotny pokój zszedł na Europę przed upływem pewnego czasu; przypomnieć należy, jak to po wojnie ostatniej okres układania się pokoju był przewlekły, jak powoli wychodziliśmy ze skrętów kryzysu. Dopiero właściwie w r. 1928, a więc w 10 lat po wojnie Nr. 1 weszliśmy w okres lepszy, pewniejszy gospodarczo.

Ta gra sił zapowiada się na razie wcale burzliwie. Dlatego dobrze zrobią ci, co myślą o przyszłości, jeżeli przygotują się do walki, do olbrzymich trudności, do niespodzianek. Pokój, a szczególnie te lata, jakie przyjdą po zakończeniu działań wojennych, wymagać będzie jeszcze większej odwagi myślenia, jeszcze większej zdolności zrozumienia mowy świata, jeszcze większej wyobraźni, aniżeli sama wojna.

Londyn, dnia 28-go listopada 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

23 *listopada: W nocy z 22/23 lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin. Był to największy z dotychczasowych nalotów RAF na stolicę Niemiec. Bombardowano specjalnie centrum miasta. Nalot był bardzo skuteczny.*

—Ogłoszono, że siły zbrojne Sprzymierzonych zostały kilka dni temu wyewakuowane z wyspy Samos. Wyspę zajęły wojska niemieckie.

—Podano do wiadomości, że wojska sowieckie ponownie wycofały się przed atakami niemieckimi na odcinku między Żytomierzem a Kijowem. Równocześnie podano, że wojska sowieckie posunęły się naprzód w rejonie łuku Dniepru, Prypeci i Homla oraz na Białej Rusi.

24 *listopada: W nocy z* 23/24, *drugą noc z rzędu, lotnictwo brytyjskie silnie bombardowało centrum Berlina. W czasie ostatnich trzech nalotów na Berlin zrzucono razem* 6.000 *ton bomb. W ciągu b. roku zrzucono na Berlin* 12.000 *ton bomb, na Hamburg* 10.000, *na Essen i Hannower po* 8.000 *ton bomb.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia z baz Morza Śródziemnego Sofię i Toulon.

25 *listopada: W nocy z* 24/25 *lotnictwo brytyjskie dokonało nalotu nękającego na Berlin. Był to* 92 *nalot na stolicę Niemiec w czasie obecnej wojny.*

—Ogłoszono, że w czasie bitwy morskiej na północ od Wysp Salomona zatopiono cztery kontrtorpedowce japońskie i uszkodzono piąty. Marynarka amerykańska nie poniosła żadnych strat.

26 *listopada: W nocy z* 25/26 *lotnictwo brytyjskie dokonało nalotu nękającego na Berlin.*

—Wojska sowieckie zajęły Homel. Wojska niemieckie wycofały się na odcinku Homel-Mohylew.

—Lotnictwo amerykańskie z baz w W. Brytanii bombardowało silnie za dnia Bremę.

—Ogłoszono, że O.R.P. "Sokół" zatopił na Morzu Egejskim nieprzyjacielski ścigacz okrętów podwodnych, ścigacz artyleryjski i trzy szkunery.

27 *listopada: W nocy z* 26/27 *lotnictwo brytyjskie silnie bombardowało Berlin.*

—Columbia ogłosiła iż znajduje się w stanie wojny z Niemcami.

28 *listopada: XXV-lecie Polskiej Marynarki Wojennej. W związku z tą rocznicą Prezydent R.P. Wł. Raczkiewicz przesłał Marynarce Wojennej życzenia, w których powiedział: "Przez te ćwierć wieku dowiedliście, że Polska na morzu nie jest tylko hasłem, nie jest utopią, ale rzeczywistością w czyn zbrojny zaklętą."*

Naczelny Wódz z okazji rocznicy wydał Rozkaz Nr. 18.

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej wice-admirał Świrski w swym rozkazie powiedział: "Jeżeli obejmiemy wzrokiem naszą Marynarkę na przestrzeni tych 25-*ciu lat, widzimy bardzo wysokie moralne i fachowe wartości tych, którzy w Marynarce służą obecnie i tych, którzy odeszli. Jedni, którzy w boju oddali życie Ojczyźnie, inni którzy zapracowali się aż do utraty zdrowia, inni znowu, których w końcu los odsunął od służby. Nie zapominajmy o nich."*

—Niemcy podały do wiadomości, że wojska ich zajęły Korosteń.

—Brytyjska 8 *Armia rozpoczęła ofensywę na pozycje niemieckie nad rzeką Sangro.*

Wojna na morzu

LEKCJA DODEKANEZU

Niepowodzenia brytyjskie na Dodekanezie są jeszcze jedną poglądową lekcją, że na morzu wewnętrznym czy na wodach ciasnych — potrzebna jest ścisła współpraca Marynarki, Lotnictwa i Wojska. I że nawet słabsza, ale taktycznie wartościowa, odpowiednio poparta przez własne lotnictwo marynarka ma szanse — i to duże szanse — powodzenia.

Ze strony niemieckiej w atakach na Kos, Leros, Samos i inne wyspy, brały udział kontrtorpedowce /zapewne ex-włoskie, obsadzone przez niemieckie załogi/, ścigacze, okręty podwodne i barki inwazyjne. Siły powietrzne reprezentowane były przez samoloty i wodno-samoloty wszelkich typów oraz przez formacje spadochronowe. Wojsko zaokrętowano na barkach i transportowcach.

Marynarka brytyjska dokonała znów cudów, jak w czasie walk o Kretę. Prawie że pozbawiona pomocy własnego lotnictwa, dostarczała na wyspy posiłki, sprzęt, zaopatrzenie, topiła niemieckie transporty, ewakuowała Samos, ostatnia zeszła z placu boju, nie bez strat zresztą. Ale cała koncepcja operacyjna okazała się błędna — to też marynarze nie mogli jej naprawić.

Wydaje się, że dowództwo sił sprzymierzonych na Bliskim Wschodzie, pozostające w rękach gen. Wilsona, pojęło operację zbyt "lądowo." Nie doceniało ani sił przeciwnika, ani jego możliwości operacyjnych, ani trudności wynikających z dużej odległości od własnych baz. Lotnictwo, działające z Cypru lub Syrii, nie mogło sprostać zadaniu; Włosi w pierwszej fazie nie wykonali tego, czego się po nich spodziewano; a położenie strategiczne Archipelagu wybitnie sprzyjało Niemcom. Tym się tłumaczy swoboda ruchów niemieckich sił morskich i powietrznych.

Lekcja jest surowa i niewątpliwie wyda owoce. Raz jeszcze pamiętać należy, że marynarka traktowana przez organy niefachowe jako czynnik "pomocniczy" w operacjach wojska, nie tylko nie sprosta zadaniu, ale poniesie niepotrzebne straty. W operacjach amfibijnych dowództwo winno być w rękach ludzi morza, albo tych przedstawicieli sił zbrojnych, którzy opanowali fachowo dowodzenie wszystkimi trzema dziedzinami.

KRYM

I jeszcze jeden przykład morza wewnętrznego: Rosjanie przeprawili się przez Cieśninę Kerczeńską, desantowali w kilku punktach na Krymie. Mimo zniszczenia części ich floty czarnomorskiej oraz baz w Sewastopolu i Noworossyjsku, mimo konieczności korzystania z prowizorycznej bazy w Batum, flota sowiecka wykazała dużą żywotność. Gdyby nie ona — atak na Krym musiałby się odbyć tylko od strony lądu — ze znacznie większymi trudnościami.

Zgromadzenie po wschodniej stronie Cieśniny odpowiedniej ilości środków przewozowych, było już samo przez się wyczynem nielada. Niemcy z pewnością ewakuowali i zniszczyli co się dało — tedy okręty, statki i barki sowieckie musiały zaczynać "z niczego." I to z dość odległych baz.

Z drugiej strony na niekorzyść Niemców działał brak sił morskich. Prócz sprowadzonych Dunajem lub koleją małych jednostek, oraz statków przewozowych, rozporządzali tylko małowartościową flotą rumuńską.

W każdym razie wiadomości z Berlina o całkowitym zniszczeniu sowieckiej floty czarnomorskiej, albo o ucieczce jej okrętów do Turcji, okazały się, jak zwykle, nieprawdziwe.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w ubiegłej wojnie Morze Czarne było szkołą dla wielu polskich marynarzy. Nabyte tam doświadczenie posłużyło później wydatnie przy tworzeniu Polskiej Marynarki Wojennej i Handlowej.

WOJNA PODWODNA

Niemcy zapowiadają nowy zwrot w wojnie podwodnej. Rzekomo od połowy grudnia ma nastąpić takie wzmożenie działań, że Anglia znów stanie wobec widma . . . a raczej widm głodu, braku surowców, ludzi, zapasów i t.p.

Na razie jednak biały chleb wciąż jeszcze można otrzymać w Anglii bez kartek, kawę, która się tu przecież nie rodzi również, lotnictwo brytyjskie bombardując Niemcy, daje dowód, że nie brak mu benzyny. Cokolwiek Niemcy by wymyślili — nie odwróci to od nich ostatecznej klęski. Co najwyżej pobudzi jeszcze więcej do walki wolne narody i wywoła jeszcze gorsze skutki dla narodu niemieckiego.

Na razie bitwa o Atlantyk trwa. Torpedy akustyczne i magnetyczne, szybowce z bombami rakietowymi, kierowanymi teleelektrycznie, nowe aparaty radiopodsłuchu i radiowykrywania — wszystko to Niemcy rzucili już do walki — bez skutków strategicznych. Straty sprzymierzonych nie przekraczają zwykłej na wojnie proporcji. Wobec tysięcy jednostek, pływających po morzach i oceanach, są to straty przewidziane i raczej niewielkie.

Natomiast gorzej jest ze stratami nieprzyjaciela. 150 okrętów podwodnych w ciągu półrocza — to strata prawie 6.000 ludzi, najlepszych podwodników Hitlera. Straty tej łatwo pokryć się nie da. A fakt spoliczkowania we Wiedniu jakiegoś "Gauleitera" przez dowódcę niemieckiego okrętu podwodnego, który dziś internowany jest w Hiszpanii — świadczy sam za siebie.

Nie należy jednak umniejszać wartości nieprzyjaciela, a tym bardziej lekceważyć go. Przyszłość — zgodnie z oświadczeniem Churchilla — nie jest bynajmniej tak jasno-różowa, jak to część prasy brytyjskiej i amerykańskiej sądzi. Dziesięciogodzinna walka między niemieckim okrętem podwodnym a samolotami i balonem U.S.A. na Morzu Karaibskim — dowodzi, że pokonanie wroga nie będzie "spacerem wojskowym." I nie da mu się rady, jak to naiwni sądzą, samym bombardowaniem powietrznym Niemiec. Do zwycięstwa droga wiedzie przez koordynację wysiłków wszystkich dziedzin strategicznych.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Ruch Gibraltar-Suez i odwrotnie został wznowiony, co skraca wydatnie drogę na Wschód. Ale tak długo jak Niemcy tkwić będą na północnych brzegach tego morza — w Marsylii, Tulonie, Genui, Pola, Korfu, Pireusie, na wyspach Egejskich i w Salonikach — droga ta bezpieczna nie będzie.

Prasa hitlerowska podała, że w posiadaniu marynarki niemieckiej są tam cztery okręty liniowe: francuskie "Dunkerque" i "Strassbourg," oraz włoskie "Cavour" i "Impero." Pierwsze dwa liczą po 26.000 ton, trzeci 24.000, czwarty — najnowocześniejszy — 35.000. Okręty zostały obsadzone przez załogi złożone z Niemców i "mussolińczyków," zapewne zmuszonych siłą.

Z bliska ta potężna eskadra nie przedstawia się zbyt groźnie. Oba liniowce francuskie odniosły uprzednio poważne uszkodzenia. Remont ich, dokonany w Tulonie, zapewne nie był idealny. Sprzęt jest odmienny od niemieckiego, uzbrojenie również, co bynajmniej nie ułatwia użycia bojowego.

To samo jest z włoskim "Cavour," z tą różnicą, że okręt ten wydobyty jest z dna morskiego w Taranto — po storpedowaniu przez brytyjskie wodno-samoloty. Remont jego trwał bardzo długo i stary ten okręt /budowy 1910 roku/ z pewnością nie zyskał na wartości.

Jedyną wartościową jednostką jest nowy nadpancernik "Impero" — rodzony brat zatopionego przez Niemców "Roma." Podobno jest na ukończeniu w Trieście. Ale sprzymierzeni mają już nań "replikę." Jest nią po powrocie do linii, nadpancernik francuski "Richelieu."

Remont "Richelieu," uszkodzonego w Dakarze, przeprowadzony był z pewnością w odmiennych warunkach niż remonty "Dunkerque" czy "Cavour." Z dala od nieprzyjaciela, w pokojowych niemal warunkach, zajęły się nim stocznie amerykańskie. Okręt został przezbrojony, unowocześniony i wyposażony w najnowsze zdobycze techniki amerykańskiej.

Pamiętać należy, że nadpancerniki włoskie "Littorio" /dziś "Italia"/ i "Vittorio Veneto" oraz pancerniki "Doria," "Cesare" i "Duillo" są dziś w portach brytyjskich.

AMERYKANIE BUDUJĄ

Nowozbudowany w roku 1943 tonaż handlowy U.S.A. sięgnął cyfry 15.332.000 ton /w październiku 1.660.000 ton/. Niechże Hitler spróbuje go zatopić!

Pamiętać należy, że prócz tego buduje okręty i statki W. Brytania w metropolii i w dominiach. I że jeśli statek handlowy dość łatwo jest zastąpić, to zatopiony okręt podwodny i jego załogę Niemcom zastąpić coraz trudniej.

W ostatnich miesiącach zginęło więcej niemieckich okrętów podwodnych niż handlowych statków sprzymierzonych.

A tymczasem Minister Marynarki U.S.A., Knox oświadczył, że ilość amerykańskich okrętów bojowych podwoiła się w roku bieżącym, wyprzedzając program rozbudowy. Ponad 40 lotniskowców weszło do linii. Flota podwodna powiększyła się o 30%, a flotylle barek desantowych o 50%.

1 stycznia 1943 floty Stanów Zjednoczonych liczyły 419 okrętów bojowych /i ponad 2.000 pomocniczych/. Lotniskowiec "Wasp" był 419 okrętem wojennym wybudowanym w tym roku. Straty wyniosły 21 okrętów wojennych. W chwili obecnej floty U.S.A. liczą 817 okrętów bojowych /prócz pomocniczych/.

Pułkownik Knox dodał, że w ciągu 15 dni, t.j. do połowy grudnia, i te 21 okrętów zostaną zastąpione przez nowe.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

"Sokół" i "Dzik," jak widać z komunikatów, tym razem działają na odległych wodach Morza Egejskiego. "Sokół" zatopił w jednym tylko patrolu 3 żaglowce, ścigacz i okręt obrony przeciwpodwodnej. Operacje "Dzika" również były uwieńczone powodzeniem. Kilkuset Niemców znalazło śmierć na dnie morza.

JULIAN GINSBERT

Kraj w uścisku gospodarki totalnej

GOSPODARKA I WOJNA

Wojna zmienia charakter i kierunek gospodarki, ale najczęściej nie osłabia samego jej nasilenia. Przeciwnie. Wytwórczość czysto wojenna, fabrykacja broni, amunicji, umundurowania i wszelkiego rodzaju zaopatrzenia dla armii oraz dostarczenie jej żywności wymagają natężenia wszystkich sił pozostałej, nie powołanej pod broń, ludności. Znika bezrobocie nawet w tych krajach, w których nabrało ono już charakteru niemal stałego. Otwierają się nowe warsztaty pracy obok dawnych, które przeważnie tylko dostosowują swój program wytwarzania do nowych potrzeb. Zastój w działach zbędnej produkcji pokojowej wyrównywany jest z nadwyżką ożywieniem w nowych gałęziach wytwórczości. Fabrykacja armat zastępuje już nie tyle wyrób masła — jak mówił kiedyś popularny slogan niemiecki — bo i masło potrzebne jest do prowadzenia wojny, ile wstrzymaną produkcję mebli i sprzętu domowego, samochodów cywilnych, przedmiotów zbytku i t.p.

Nowy szczegół w tym procesie, element wniesiony przez wojnę totalną stanowi zacieranie się w państwach wojujących różnicy między przemysłem wojennym a pozostałym przemysłem. W ramach konsekwentnej i powszechnej mobilizacji wszystkich sił i zasobów narodu pozostają czynne tylko te działy wytwórczości, które są istotnie niezbędne. W tych granicach zaś nie ma powodu do przeprowadzania rozróżnień między wyrobem naboi do karabinów maszynowych a na przykład wytwarzaniem butów czy żywności dla robotników produkujących te naboje, czy kolejarzy przewożących je na front. Stąd zrozumiałe jest, iż w Niemczech współczesnych, które zmuszone zostały do dociągnięcia gospodarki wojennej do ostatecznych granic wytrzymałości ludzi i materiału, zatarcie się pojęcia przemysłu ściśle wojennego znalazło nawet ostatnio wyraz organizacyjny w poddaniu władzy ministra produkcji wojennej Speer'a całej w ogóle niemieckiej wytwórczości przemysłowej.

Przestawienie produkcji całego kraju na potrzeby wojenne wymaga oczywiście ogromnego wkładu energii, wysiłku zarówno technicznego jak i organizacyjnego. Zapewnienie odpowiednich dostaw surowców, względnie znalezienie surowców zastępczych, szybkie zmontowanie nowych zakładów i ustawiczne dostosowywanie ich do coraz to nowych w czasie wojny wynalazków i ulepszeń, odpowiednia gospodarka ludzką siłą roboczą, której zapas stale się kurczy w miarę przedłużania się wojny, finansowanie ogromnych wydatków publicznych bez nadmiernego zachwiania wartości pieniądza, pod tym samym kątem widzenia przeprowadzane zdrenowanie powiększonej nagle siły kupna ludności, utrzymanie cen i sprawiedliwy rozdział nielicznych w tym czasie towarów — oto tylko kilka przykładów łamigłówek, jakie gospodarka wojenna w każdym państwie stawia przed jego ekonomistami. To tylko Muzom podobno wolno odpoczywać wśród szczęku broni. Teoretycy i praktycy życia gospodarczego natomiast muszą w tym hałasie pracować intensywnie i szybko.

PLANOWANIE OKRESU POWOJENNEGO

Obecnie, w piątym roku i — jak chcemy wierzyć — pod koniec wojny, w krajach anglosaskich myśl gospodarcza jednak już w mniejszym stopniu zaprzątnięta jest teraźniejszością. Przewidująco wybiega ona naprzód, szukając już z góry rozwiązań dla zagadnień pokojowego jutra. Coraz więcej spotyka się głosów omawiających plany powrotnego przestawienia działalności gospodarczej na tory normalne, plany szybkiego zatrudnienia zdemobilizowanych, prędkiego zaspokojenia przyszłego głodu towarów i t.p. Wielka Brytania zawczasu myśli o zwiększeniu swego eksportu w stosunku do okresu przedwojennego, dla zastąpienia ubytku w dochodach z utraconych w międzyczasie lokat zagranicznych.

W związku z tym powstają dyskusje o podziale rynków światowych i zwiększeniu siły kupna krajów, które ten zwiększony eksport mają wchłonąć. W odróżnieniu od epoki traktatu wersalskiego, gdy zagadnienia gospodarcze, przynajmniej oficjalnie, ustępowały na dalszy plan, szerzy się zrozumienie związku między równowagą gospodarczą i społeczną a utrzymaniem ładu i pokoju w świecie. Pracuje się nad planami gospodarczej współpracy międzynarodowej.

Wszystkie te zamierzenia i plany mają dla Polski znaczenie jak najbardziej istotne. Obok nich stają przed nami jednak zagadnienia dodatkowe, których nie znają szczęśliwsze od nas kraje anglosaskie a w mniejszym tylko stopniu znają kraje okupowane Europy Zachodniej. Mam na myśli sprawę odbudowy zniszczeń i odrobienia tych wszystkich zmian, jakich dokonali okupanci w żywym organizmie polskiego gospodarstwa narodowego. Czy zdajemy sobie dostatecznie sprawę z ich zakresu?

Wydaje mi się, że w naszych pracach emigracyjnych na temat odbudowy gospodarczej Polski, w naszych planach i myślach dotyczących rozwoju powojennego niejednokrotnie nie potrafimy się ustrzec od pewnego błędu wspólnego wszystkim, którzy od dłuższego czasu stracili łączność z krajem, nie przestając zresztą troskać się o jego sprawy. Wydaje się, że jako podstawę naszych zamierzeń bierzemy stan taki, jaki znaliśmy w chwili opuszczenia kraju. Błąd ten może odbić się bardzo poważnie na ścisłości tworzonych przez nas obrazów. Tym poważniej, że właśnie ubiegły okres czteroletni w Europie cechowały szczególnie rozległe i głębokie przemiany gospodarcze. W ramach kilku artykułów chciałbym spróbować omówić najkrócej kilka takich procesów rozwojowych, które przypuszczalnie bardziej trwale zaznaczą się w rozwoju gospodarczym Polski i skutkami swymi mogą sięgnąć daleko poza chwilę naszego powrotu do Kraju.

PODZIAŁ GOSPODARCZY POLSKI

Najogólniejszym skutkiem gospodarczym okupacji jest sam fakt podziału Polski na kilka, odrębnie administrowanych, stref okupacyjnych. Przed wojną ubiegłą poszczególne dzielnice Polski, zawsze jak najbardziej duchowo ze sobą związane, pod względem administracyjnym i gospodarczym zdążyły jednak, dzięki długotrwałości niewoli, przyrosnąć w pewnej mierze do obcych organizmów państwowych. Pamiętamy ile wysiłku w pierwszym okresie niepodległości kosztowało uzupełnienie jedności moralnej, która nigdy nie osłabła, jednością materialną, wspólną więzią codziennej współpracy i wymiany dóbr.

Po wojnie poprzedniej przemysły takie, jak tekstylny czy metalowy straciły wiele dotychczasowych rynków zbytu i potrzebowały sporo czasu, by zdobyć nowe względnie przygotować się do zaspokojenia potrzeb nowego, już polskiego rynku wewnętrznego. Ziemie Polski środkowej i wschodniej potrzebowały na ogół równie wiele czasu, aby przyzwyczaić się do wytworów przemysłu górnośląskiego jak n.p. kopalnie śląskie, by stać się odbiorcą drzewa kopalnianego ze wschodu. Całe gospodarstwo kraju było nieprzyzwyczajone do handlu morskiego; brakło odpowiednich połączeń kolejowych z portami bałtyckimi. W ogóle cały system komunikacyjny był nastawiony raczej na kierunek równoleżnikowy, niż południkowy; nie było układu gwiaździstego dojazdów do stolicy; Warszawa przez dłuższy czas nie miała bezpośrednich połączeń z Krakowem czy Lwowem.

W chwili obecnej spotykamy wiele podobieństw ze stanem z przed wojny poprzedniej. Ziemie polskie, jakkolwiek pod władzą jednego okupanta, porozdzielane są granicami celnymi i dewizowymi. Bogatsze ziemie zachodnie, oddzielone są całkowicie od ich naturalnego zaplecza na wschodzie, a jakkolwiek pod naciskiem żywych sił gospodarczych stawki celne dla przemysłu śląskiego przy przywozie do Generalnego Gubernatorstwa były periodycznie obniżane, ostatnio zaś granicę celną między Generalnym Gubernatorstwem a Rzeszą teoretycznie zniesiono, to jednak nadchodzące z różnych źródeł wiadomości potwierdzają, że wymiana między wschodnią a zachodnią częścią Polski jest niezmiernie utrudniona.

Podobnie także wysiłek około rozbudowy czy choćby tylko konserwacji sieci komunikacyjnej znowu skupia się na szlakach z zachodu na wschód, które ważne są w tej chwili dla niemieckich transportów wojskowych, dla gospodarczego życia kraju w przyszłości nie będą jednak zapewne najważniejsze.

PRZYMUS OBCEGO SYSTEMU

Drugą, ogólną cechą okupacji jest narzucenie polskiemu organizmowi gospodarczemu systemu, który nie tylko służy obcym celom, ale sam w sobie jest czymś dla gospodarstwa polskiego całkowicie nowym i obcym. System wszechpotężnej i wszystko obejmującej interwencji państwa narodowo-socjalistycznego we wszystkie dziedziny życia gospodarczego nie zamyka może całkowicie pola działania dla inicjatywy prywatnej, podobnie jak nie likwiduje bez reszty własności, niezmiernie jednak zacieśnia rolę jednej i drugiej.

System ten w Niemczech wyrósł z podstaw ideologicznych narodowego socjalizmu, wedle których jednostka jest niczym, naród wszystkim a państwo tylko instrumentem dla spełnienia celów narodu. W ramach tej ideologii nie pozbawione logiki było, demagogiczne skądinąd, dawniejsze odezwanie się Hessa, który oświadczył że w państwie narodowo-socjalistycznym na brak wolności skarżą się ci tylko, którzy wolności tej chcą nadużywać. Wszystko to może przemawiać do wyznawców systemu, którzy w imię najbardziej nawet obłąkanej, ale własnej ideologii gotowi są do poświęceń i wyrzeczeń. Trudno natomiast oczekiwać takiej postawy od ludności, która nie podziela haseł leżących u podstaw całego systemu.

Dodać trzeba, że nawet i w samych Niemczech panujący obecnie system gospodarczy narastał stopniowo, poprzez etapy charakteryzujące się najlepiej kolejnymi planami czteroletnimi. Na teren ziem polskich system ten natomiast został przerzucony z dnia na dzień, wobec czego, nawet pomijając już wszystko inne, ludność stanęła wobec niego bezradna i bezsilna.

Czego jednak nie można pominąć, to tej okoliczności, że system wszechwładzy biurokracji, trudny już do zniesienia we własnym kraju, staje się stokroć gorszy, gdy wykonujący go urzędnicy w założeniu swoim są wrogo nastawieni do podporządkowanej im ludności. Podporządkowanie to zaś w systemie niemieckim jest najzupełniej totalne. Niezliczone instytucje i władze planujące i kontrolujące całe życie gospodarcze, setki biur uchwycenia produkcji, przydziału surowców i szafowania siłą roboczą, tysiące rozporządzeń regulujących wszystkie najmniejsze dziedziny życia, w znacznej mierze całkowicie niewykonalnych, lecz nieodmiennie grożących ciężkimi karami, sprawiają, że jednostka w Polsce, nawet niezależnie od całego terroru czysto politycznego, omotana jest siecią przepisów, które w rezultacie ograniczają jej możność działania może jeszcze bardziej dotkliwie, niż wszystko inne.

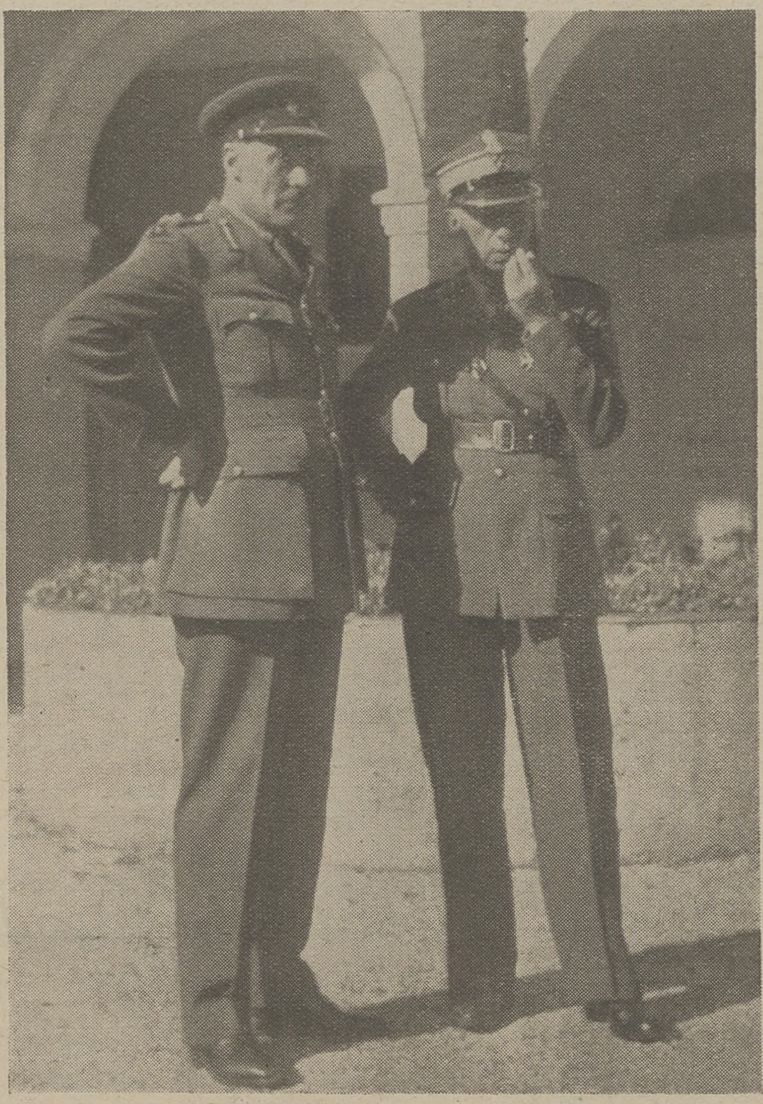
WYKOLEJENIE NORMALNEGO ROZWOJU

Myśląc i mówiąc o położeniu kraju pozostajemy zwykle, co zresztą jest zrozumiałe, pod wrażeniem pojedyńczych gwałtów i aktów okrucieństwa. Przy ich masowości są to jednak zjawiska w sumie tak samo, dotkliwe, jak mniej jaskrawy, ale głębiej sięgający i wszędzie docierający, terror gospodarczy i wywołane nim wykolejenie normalnego rozwoju.

Jako wynik tych stosunków w okresie okupacji pozostaną w duszy społeczeństwa polskiego głębokie osady, które może niejednokrotnie równie trudno usunąć, jak ślady zniszczeń warsztatów pracy i zasobów kraju. O jednych i drugich chcę pomówić w najbliższym czasie.

GUSTAW GAZDA

Oświadczenie Naczelnego Wodza



Naczelny Wódz w towarzystwie zastępcy komendanta Gibraltaru

26 listopada, Jerozolima. Dla "Polski Walczącej" przez Sekcję Korespondentów Wojennych przy Ministrze Obrony Narodowej.

Generał Sosnkowski przyjął w swej kwaterze przedstawiciela tygodnika "Polska Walcząca" i złożył mu dla tego pisma następujące oświadczenie:

STWIERDZAM CAŁKOWITĄ GOTOWOŚĆ BOJOWĄ ARMII P. NA WSCHODZIE I GORĄCY ZAPAŁ DO WALKI. WYRUSZY ONA DO BOJU POSIADAJĄC DZIĘKI ŻYCZLIWEJ POMOCY I DALEKOWZROCZNEJ POLITYCE NASZYCH WIELKICH SPRZYMIERZEŃCÓW NAJLEPSZE I NAJNOWOCZEŚNIEJSZE UZBROJENIE I SPRZĘT. CZUJĘ SIĘ WŚRÓD JEJ ŻOŁNIERZY, JAK W GRONIE RODZINNYM. ICH PRZYWÓDCA GENERAŁ ANDERS, KTÓRY DZIELIŁ Z NIMI WSPÓLNY LOS W CHWILACH NAJCIĘŻSZYCH, WPOIŁ W NICH NAJPIĘKNIEJSZE NASZE TRADYCJE ŻOŁNIERSKIEGO DUCHA, KOLEŻEŃSTWA I JEDNOŚCI CELU.

PATRZĄC NA NASZE SIŁY ZBROJNE ZNAJDUJĄCE SIĘ POZA GRANICAMI PAŃSTWA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE I WYSPACH BRYTYJSKICH, NA NASZYCH LOTNIKÓW I MARYNARZY, WIDZĘ Z RADOŚCIĄ, ŻE TWORZĄ ONI JEDNĄ ZWARTĄ CAŁOŚĆ I ŻE OŻYWIENI SĄ TYM SAMYM PRAGNIENIEM WALKI.

JEST TO NAJDOBITNIEJSZE STWIERDZENIE WOBEC OPINII ŚWIATA, ŻE POLAKOM W TEJ DECYDUJĄCEJ DLA NICH CHWILI DZIEJOWEJ PRZYŚWIECA ZARÓWNO W KRAJU JAK I ZAGRANICĄ JEDNA TYLKO MYŚL I JEDEN TYLKO CEL — WYWALCZENIE SILNEJ, NIEPODLEGŁEJ POLSKI.

NAPAWA MNIE TO NIEZŁOMNYM PRZEŚWIADCZENIEM, ŻE TAK JEDNOLICIE POJĘTY WYSIŁEK POLSKIEGO NARODU DOPROWADZI NAS W ZWYCIĘSKIM MARSZU DO OJCZYZNY.

Z frontu fabrycznego

—" Stanley, kto napisał " Opowieść o dwu miastach " ? "

—" Dickens."

—" Widzisz Jack, że miałem rację."

Jim i Jack są przyjaciółmi. Mają obaj po lat 18. Stanley — to ja. Stanisław. Lat 35. Apelują do mego 35-cioletniego doświadczenia we wszystkich sprawach spornych. A jest ich dużo, bo ci " milczący Anglicy " cały dzień się sprzeczają. Nieraz zastanawiam się nad tym, skąd biorą tyle tematów do kłótni. A tematy są ważne i istotne, jak widać z powyższego zapytania.

Innym razem Jack " wyciągnął mnie " na rozmówkę o standardzie złotowym waluty angielskiej. Nieprzyjemnie rzeczowe były jego pytania. Przyciskał mnie co chwila do muru podchwytliwym, precyzyjnym pytaniem. Czujnie wynajdywał każdą blagę lub nieścisłość. Nigdy więcej nie dam się nabrać na rozmowę o walucie. Miałem nauczkę.

W styczniu spotkałem ich raz w kolejce podziemnej. Jim — w skórzanej wiatrówce, bez płaszcza /ci Anglicy więcej garderoby noszą pod koszulą niż na koszuli/. Elegancka popelinowa koszula. Świetnie leżący kołnierzyk i spokojny, ciemny krawat zawiązany jak należy. Spodnie — szare " *slacks'y* " — jak u większości Anglików poplamione. Buty wypucowane na glanc. Jack — w mundurze i płaszczu wojskowym z naszywką " Home Guard." Obaj bez kapeluszy. Jest dżdżysto, mglisto i siódma godzina rano. Brrrr . . . Obaj mają gazety. Jack studiuje wczorajsze wyniki sportowe, a Jim czyta najnowszy skandal rozwodowy.

—" Hallo, Stanley! " — Mrugnięcie okiem jest w Anglii charakterystycznym narodowym zwyczajem przy witaniu się. Jak u nas w Polsce uścisk dłoni. Opowiadają, że podobno Arabowie w Bengazi witali wkraczających Anglików mruganiem /t.zw. po polsku perskie oko/, myśląc, że jest to angielski odpowiednik faszystowskiego ukłonu wyciągniętą ręką.

—" Wiesz Stanley — bomba trafiła schron na X-Street. Pięciu zabitych."

—" X-Street. Gdzie to? "

Tłumaczy mi, że jest to tam a tam. Na drugim końcu Londynu. Skąd te milczki zawsze o wszystkim wiedzą jest bodaj największą zagadką, jaka mnie w Anglii niepokoi.

—" Stanley, czy czytałeś o " Poland " ? Prześladowanie kościoła katolickiego."

Klnę się na Boga, że w mojej obecności otworzył dziewiczą gazetę na stronie sportowej i okiem nie rzucił gdzieindziej. Jak oni to robią, że wszystko wiedzą.

Zajeżdżamy pod bramę fabryki. Tłum kobiet i mężczyzn; długi nieprzerwany sznur szybko mija bramę i kontrolę przepustek. Przez drugą bramę, nawściąż otwartą wjeżdżają na teren zabudowań fabrycznych auta, motocykle i setki rowerów. Rozpoczynamy dzień pracy. Jim, Jack i ja. Jesteśmy robotnikami w fabryce " jakiejś " broni, " gdzieś " w Anglii.

Co najbardziej uderza w tym kraju, to niebywale wysoki poziom przeciętności. Jim i Jack to robotnicy. Są czyści, ogoleni i bardzo przyzwoicie, po " miastowemu " ubrani. Nie ma żadnej różnicy w wyglądzie zewnętrznym między nimi a " inteligentem." A jednak różnica jest. I przepaść jest też olbrzymia pomiędzy *gentlemanem* a *man'em*. Antagonizm klasowy jest może nawet bardziej wyraźnie zarysowany, niż u nas, ale jest on raczej wewnętrzny, niż zewnętrzny, raczej duchowy, niż materialny.

Robotnik rozmawiając z formanem lub nawet z dyrektorem zachowuje się nie inaczej, niż gdy rozmawia z kolegą. A więc n.p. zatrzyma ręce w kieszeni lub będzie siedział, jeśli mu to w dawnej chwili odpowiada. Nigdy robotnik pierwszy szefowi się nie ukłoni. Jeśli szef doń mrugnie okiem i on mrugnie, jeśli go minie i nie zauważy, i robotnik przejdzie jak gdyby nigdy nic. Nie ma tego upokarzającego, przykrego przestępowania z nogi na nogę, tej postawy na baczność i czapki w ręce, gdy szef raczy odezwać się do robotnika. Nie ma tego — " Tak jest, panie dyrektorze." — " Nie, panie inżynierze " — tych wszystkich smutnych akcesoriów naszej niskiej stopy życiowej.

Jeszcze jedna, — może nieco odległa — refleksja na marginesie. U nas byle urzędniczyna-gryzipiórek, byle " szewc w niedzielę " — kroi lorda. Tutaj lord chodzi nieraz gorzej ubrany, niż jego szofer. U nas tak wiele daje się na pozory, na krawat, na " jak spodnie leżą." Tu wszyscy, bo tych innych nie widać ani na ulicy ani po lokalach, chodzą w konfekcji.

Nie. Różnic klasowych tu nie widać. Ale czuje się je. Słyszy się i czyta się o nich. I to nie tylko w prasie lewicowej, ale i po drugiej stronie barykady. I znowu porównanie: u nas prasa reakcyjna czy, jak wolicie prasa wielkiego kapitału, na ogół przemilczała konflikt klasowy. Walka klas dla prawicy nie istniała. Kwestii robotniczej ani socjalizmu " naturalnie " nie było, a komuniści — pod klucz. I lepiej o nich nie mówić. Tutaj reakcja nie chowa się za zasłonę dymną przemilczania. Anglik o wszystkim myśli i o wszystkim bardzo sumiennie dyskutuje. Tu walka klas naprawdę istnieje, a świadomość przynależności klasowej jest bardzo wyrazista, ale starcie rozgrywa się w dziedzinie myśli. Tak jak być powinno.

W fabryce — podczas przerw — wiele się dyskutuje. Głównie na tematy polityczne i wojenne. Ale też społeczne, religijne i zawodowe. Poziom zdumiałby niejednego inteligenta. Może dlatego, że Anglik nie mówi, jeśli czegoś nie wie na pewno. Nie ma tu tego gadania, byle gadać, a milczenie nie jest ani wynikiem zapeszenia, ani nieinteligencji.

Rozmowa jest bardzo często żartobliwa, czasami nad wyraz poważna, ale nigdy nie " przeszarżowana." Nie spotkałem tego żartu, który tak często na kontynencie przechodzi w nahalność, ani tego patosu, który u nas notorycznie kończy się zakłamanym frazesem.

Jest nas dwóch Polaków w fabryce. Mój rodak, to Józef. Lwowianin. Cwaniak, kawalarz i kobieciarz.

—" Stanley, co myślisz o wojnie? "

Ernie, inspektor fabryczny /najniższy szczebel " *staff'u* "/ uważa mnie za autorytet w sprawach polityki i strategii od czasu, gdy pokazałem mu spadochronowy numer " Polski Walczącej." — " *Inside information, isn't it?* " — zapytał mnie wówczas z porozumiewawczym mrugnięciem. Nie jest bardzo mądry, ani inteligentny. Typowy okaz drobnomieszczanina zmuszonego do pracy fizycznej, ale uważającego siebie za coś " lepszego." Drobnomieszczaństwo jest wszędzie takie samo. Międzynarodówka drobnomieszczańska jest paradoksem z prawdziwego zdarzenia. Codziennie wita mnie Ernie tym pytaniem, na które tradycyjnie odpowiadam podnosząc kciuk do góry /*thumb up*/:

—" *We are doing O.K.* " — Po takiej odpowiedzi wolno już krytykować, a nawet wymyślać.

Dziś Józef wtrąca się do rozmowy:

—" Niby dlaczego " my " ? " *The Russians are doing O.K.*"

Józef jest z partii J.W.W. /Jak wiatr wieje/, więc obecnie — w fabryce jest prorosyjski i komunizujący. We Lwowie — twierdzi — siedział za komunizm. Siedzieć to siedział, ale w knajpie i nie za komunizm, ale za pożyczonych 50 groszy. Gdyby we fabryce O.N.R. był w modzie, kroiłby oenerowca. Może i zresztą kroi we West-Endzie. Ma zresztą tę zaletę, że przed Anglikami trzyma fason i o polityce wiele nie gada. No a ja . . . Józef wie, że i tak mu nie wierzę.

Rosjanie są w modzie. To prawda. I prawdą jest też, że cała Anglia idzie gwałtownie na lewo. Mniej lub bardziej szczerze. Nawet Torysi. Nic więc dziwnego, że fabryki są bardzo " czerwone." Robotnicy we fabrykach broni to przeważnie element nowy, napływowy. Albo bardzo młodzi — za młodzi na wojsko — albo przeniesieni z innych fabryk czy zawodów. Ex-subiekci, fryzjerzy, drobni urzędnicy i t.d. " Stary " robotnik ma swoją tradycję polityczną. Jest przeważnie Związkowcem /członkiem *Trade-Union'u*/ i socjalistą, a kolor jego " czerwoności " jest bledszy lub gorętszy, ale zasadniczo umiarkowany.

Natomiast " ci nowi " — jak zwykle neofici — popadają w krańcowości. Wczoraj byli może Mosleyowcami /Mosley to " wódz " angielskich faszystów/. Dziś są " komunistami." Aureola bohaterstwa wojsk rosyjskich, tak rzetelnie i lojalnie przedstawiana w prasie brytyjskiej — nawet antykomunistycznej — jest niewątpliwie także jedną z ważnych przyczyn tego ruchu na lewo mas angielskich. Zresztą mniejsza o powody. Tak jest.

Byłem ciekaw, jak moi koledzy rozumieją swoje poglądy polityczne, więc podczas przerw " interview'owałem " ich, niby w rozmowie. Zacząłem naturalnie od Józefa.

—" Panie Józefie, co to właściwie jest komunizm? "

—" Jakto, nie wie Pan! Ta joj, inteligenta kroi a nie wie co to komunizm. Panie Stanisławie, wstyd nie wiedzieć. Nie, chyba Pan żartujesz." — Wyraźnie starał się zyskać czas do namysłu. — " Swoją drogą, bezczelność stawiać takie pytanie " — myślał sobie na pewno. Ale ja uparcie nalegałem na odpowiedź.

—" No, jak Pan nie wie, to już Panu powiem. Komunizm to " — tu dłuższa pauza — " komunizm to . . . szczytowy punkt cywilizacji." Mimo energicznych wysiłków nie zdołałem nic więcej od Józefa wydostać.

Ernie nie jest komunistą, ale sądzi, że komunizm musi być czymś korzystnym, skoro Rosjanie się tak dobrze biją.

Najładniej odpowiedziała mi Mrs. Jones. Wdowa po górniku walijskim, który zginął w kopalni 6 lat temu. Przed rokiem rozpoczęła pracę w naszej fabryce na nocnej zmianie. Mała, wysuszona i zniszczona kobiecina. Bieda z nędzą. Wyglądała przynajmniej na 50 lat. Okazało się, że ma 25. Rok pracy, być może pierwszy, który dał jej regularny zarobek — wypełnił jej twarz, odmatowił głębokie, myślące oczy. Nie mówi wiele, ale jest bodaj że jedyną spośród robotnic, która wie czego chce.

Pisałem poprzednio o robotnicach angielskich i zgubnym wpływie tych wszystkich " ersatzów " luksusu, jakimi cywilizacja przemysłowa je obdarzyła. " *Perm,* " kino, dancing, " *sweets'y* " i fotografie *boy-friend'ów* — oto przeważna treść ich myśli i rozmów. Mrs. Jones nie jest taka. Jest trochę, jak polskie robotnice. Przeszła twardą szkołę życia i wiele spraw gruntownie przemyślała. Jest wyrozumiała dla innych, ale nie szczędzi siebie. Pracuje rozważnie, ale twardo i bez przerw.

Było bardzo upalnie onegdaj, więc mówię do niej:

—" Ciężko pracować w upały? "

—" *Oh, it's all right!* Nasi chłopcy w czołgach libijskich pocą się stokroć bardziej."

Chwila milczenia. Nosi dzisiaj broszkę z młotem i sierpem jako jedyną ozdobę skromnej sukni. Widzi, że zauważyłem.

—" Byłam wczoraj na Trafalgar Square " — tłumaczy się.

Wczoraj komuniści urządzili wielki wiec na Trafalgar Square pod hasłem " *Second front now!* "

—" Czy jesteś komunistką? "

—" *I think I am.*"

—" A co to jest komunizm? " — pytam podchwytliwie.

Znowu chwila milczenia. Potem patrzy na mnie z uśmiechem i mówi:

—" *Well, it's some kind of " Jack is as good as his master.*" /To pewnego rodzaju, " Kubuś jest tyle wart, co jego Pan."/

Wydaje mi się, że w tym naiwnym ujęciu leży tajemnica tego ruchu na lewo, jaki obserwujemy w Anglii. Dajcie mu równy start i równe możliwości a zadziwi niejednego " Blimpa."

Tak, " *Jack is as good as his master.*" Kiedy pod wpływem zaleceń rządu, utworzono po fabrykach t.zw. " *Production Committees,* " w których robotnicy na równi z zarządem radzą nad wzmożeniem wydajności i wytwórczości — wyniki przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Świeżość myśli, nie spaczona rutyną a podniesiona entuzjazmem pokazała w całej pełni inteligencję angielskiego robotnika.

" *Production Committees* " uzmysłowiły mi jednak jeszcze jedną rzecz. Jest dość nagminną a wysoce niestosowną modą w pewnych sferach polskiej emigracji, wygadywać na angielski bałagan /*muddle*/, niedołęstwo i t.d. — " I oni chcą wygrać wojnę " wygaduje ten czy ów — przeważnie " zaleszczycko-zmotoryzowany " emigrant. " Besserwissery " dość podejrzanego autoramentu, przeważnie z głupoty, często z lenistwa umysłowego, a czasami z mocno podejrzanych motywów, wtrącają przy byle okazji swoje " piątokolumnowe " trzy grosze. A właściwie nie ma podstaw do tych oskarżeń. Brak porównania. Widzieliśmy polski przemysł przed wojną, a angielski widzimy podczas wojny. Niemiecki czy sowiecki przemysł — owe rzekomo ideały organizacji — nie pracują w ustroju kapitalistycznym, w ustroju przedsiębiorczości prywatnej, w którym przemysł angielski tkwi wciąż jeszcze bardzo głęboko, mimo wojennych ograniczeń. A zresztą, cóż my wiemy o przemyśle niemieckim czy nawet sowieckim?

Anglia jest krajem, który ze wszystkich wolności nade wszystko ukochał wolność słowa. I dlatego o wszystkim się tu mówi i o wszystkim pisze. Ta swoboda wypowiadanych sądów, szczerość w przyznawaniu się do winy uderzyła nam do głowy, jak dobre wino człowiekowi nie przywykłemu do alkoholu. Mówi się nam o rzeczach, których byśmy sami może nie zauważyli. Gazety angielskie roztrząsają sprawy, za które w Niemczech murowanie . . . kula w łeb. Nie dziw, że " nasi " dostają zawrotów głowy.

W rzeczywistości rzecz się ma tak. Przemysł angielski nastawiony był przed wojną na jakość, a nie na ilość. Reprezentatywny dla Anglii, nie jest Ford z Dagenham czy nawet Morris, ale Rolls-Royce. Angielscy przedsiębiorcy zarabiali pieniądze na dobrym gatunku towaru a angielski robotnik był ceniony za " *good craftsmanship.*" I nagle kazano się im przestawić. Przestawić fizycznie i umysłowo. A do tego przedsiębiorcy odebrano motyw zysku /przez podatek od nadmiernych zysków/ a młodszych i bardziej rzutkich robotników powołano do wojska. Wywołało to niewątpliwie poważne niedociągnięcia, o których się tyle — aż za wiele — mówi. Ale te niedociągnięcia już dawno należą do przeszłości. Czas szybko leci podczas wojny.

Gdy Józef przyszedł po raz pierwszy do fabryki zapytał mnie.

—" Ta, Panie! Czemu te frajery się nie ruszają? Też mi praca. Grandziarze i tyle."

Józef jeśli się zmęczy pracą — a " męczy " się dość często — majstruje coś mikrometrem, niby odmierza, niby się zastanawia. " Markuje " pracę. Jeśli forman się wówczas zjawi, natychmiast kończy markowanie i zabiera się do roboty. Może nawet odrobinę za gorliwie. Nie tak Anglicy. Jeśli się zmęczą — siadają, lub przerywają pracę bez względu na to, czy forman patrzy czy nie. Dlatego widać często robotników angielskich nic nie robiących. Natomiast Józef zawsze " pracuje," choć w sumie — *I am afraid* — wyniki jego są znacznie skromniejsze.

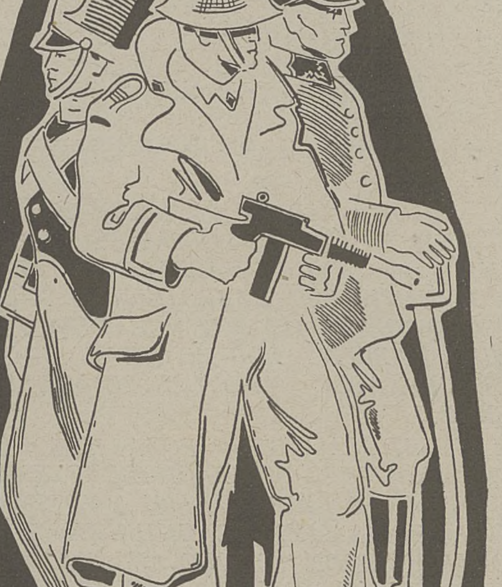
Nie dajmy się za nos wodzić pozorom. Nie egzaltujmy się " fenomenalnymi osiągnięciami," ale niechaj nas nie przeraża " beznadziejna sytuacja." Ani tak źle, ani tak dobrze.

Anglicy pracują powoli, ale równo i regularnie. Nie śpieszą się nigdy. To prawda. Ale pracują bardzo inteligentnie i bardzo rozważnie. Są inni niż my. Ale to jeszcze nie powód do potępienia w czambuł. Nie są błyskotliwi. Fabryki angielskie nie są fotogeniczne. Nie zawsze bardzo czyste. Nie zawsze idące " jak na sznurku." Ale . . . bądźmy szczerzy. I my nie byliśmy święci.

A panowie " krytykierzy " i " besserwisserzy " — zamiast urzędowo i uroczyście odstawiać " marchewkę " — zakasać rękawy i . . . do roboty. Na nocną szychtę. Albo na *week-end*. Zamiast do Torquay. Rrrozkaz!

DOMINIK SZCZERBIC

W rocznicę Powstania Listopadowego



rys. JAN STERLING

TAM, NA BŁONIU

Wróć nam, ach — powróć, ułanie z pikiety,
lecz w krwią najeźdźców splamionym rabacie!
Inny niech róże zrywa, ale nie ty,
boś znów najpierwszą osobą w dramacie.

Przy drogach, kędy strącono anioły,
co chwila gwiazdy konają człowiecze,
i tylko szeptem, umarli napoły,
ludzie śmią jeszcze modlić się o miecze.

Miecze nam powróć, ogarnij komendą
nikłe ogniki, w polach gorejące,
a pod twą wodzą błyskawic dosiędą
i pójdą w chmury odwojować słońce.

I już nie będziesz, skrwawiony aniele,
obok dziewczęcia ułanem z sielanki,
lecz błyskiem miecza w shańbionym kościele,
mściwym akordem w gromie Warszawianki.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

"Korespondent wojenny melduje się"



rys. MARIAN WALENTYNOWICZ

Na miejsce wiecznego spoczynku dla swoich wielkich żołnierzy Brytyjczycy wybrali katedrę św. Pawła. Leży ona na linii rdzenia nerwowego Londynu, idącego od urzędowego "Whitehallu" poprzez "Law Court" i prasową Fleet Street do centrum finansów i businessu w "City." W katedrze tej spoczęli Nelson, Wellington, Kitchener. W tej samej świątyni — obok wielkich wodzów — uznano za stosowne uczcić także wielkich brytyjskich korespondentów wojennych. W krypcie katedry, parę kroków od grobu Wellingtona znajduje się "zakątek dziennikarzy"—"*Journalist's Corner,*" gdzie pamiątkowe tablice sławią "pierwszego i największego korespondenta wojennego" Sir William Howard Russell, dalej Melton Prior z "*Illustrated London News,*" Archibald Forbes z "*Daily News*" oraz dwunastu korespondentów wojennych, którzy życie oddali, pełniąc swe obowiązki w czasie kampanii w Sudanie i w Południowej Afryce.

"*Journalist's Corner*" w katedrze św. Pawła ma swą wymowę. Uznano, że miejsce dziennikarzy, którzy na polu bitew służyli swej ojczyźnie nie orężem wprawdzie, ale piórem i słowem — jest właśnie obok zasłużonych dowódców wojskowych. Droga, którą toczyły się dzieje brytyjskiej "*war correspondence*" aż do tak zaszczytnego uznania — była wprawdzie krótka, ale nie łatwa. Warto się z nią zapoznać, choćby pobieżnie, w chwili narodzin polskich korespondentów wojennych.

Pierwszym prawdziwym korespondentem wojennym, który wojnę oglądał nie na mapach w sztabie, ale w pierwszej linii walk był Irlandczyk, William Howard Russell, późniejszy projektodawca stworzenia orderu "*Victoria Cross.*" Gdy w roku 1854 wybuchła wojna krymska, redakcja "*The Times*" wyznacza jednego ze swych najzdolniejszych reporterów, młodego prawnika Russella, by towarzyszył brytyjskim siłom ekspedycyjnym na polach bitew. Po raz pierwszy w stosunku do Russella "*Times*" użył wtedy określenia "*war correspondent,*" który to tytuł samemu Russellowi wydał się raczej dziwaczny.

Jak się było można spodziewać, "Whitehall" uznał pomysł wysyłania reportera prasowego na wojnę za niesłychany. Odmówiono wydania pozwoleń i jakichkolwiek ułatwień. Russell, rasowy dziennikarz, nie zraża się jednak pierwszymi niepowodzeniami i postanawia mimo wszystko dotrzeć do celu, na własną rękę i własnym sprytem.

Z Anglii udaje się na Maltę statkiem pasażerskim. Na Malcie, dzięki znajomościom, dostaje się na okręt przewożący oddziały wojskowe i rusza w drogę do Gallipoli. Pojawienie się jego na okręcie, na pełnym morzu, budzi ogólną konsternację i oburzenie wśród wyższych oficerów.

Po wylądowaniu w Gallipoli Russelll przystępuje do pracy sprawozdawczej. Wkrótce okazuje się, że Anglia jest zupełnie nieprzygotowana do wojny. Russell zaczyna swą skuteczną akcję. W depeszach do "*Times'a*" opisuje on i piętnuje skandaliczne warunki panujące w szpitalach wojennych, brak odpowiedniego wyżywienia i umundurowania żołnierzy oraz inne objawy kompletnego braku przewidywania ze strony sztabu. Niedociągnięcia te kosztują życia ludzkie. Dlatego Russell nie oszczędza w swej krytyce ani generałów ani rządu.

Depesze Russella wywołują oburzenie w "Whitehallu." Sekretarz stanu dla spraw wojny Sidney Herbert pisze do Gladstone'a, wyrażając przypuszczenie, "iż armia zlynczuje korespondenta "*Times,*" czego nikt nie będzie żałował." Książę Małżonek określa go jako "*miserable scribbler.*" Wydaje się, że Russell jest pogrzebany.

Naczelny dowódca lord Raglan odmawia przyjęcia Russella oraz przyznania jakichkolwiek ułatwień transportowych, czy kwaterunkowych, mimo że w międzyczasie z Londynu przyszło do dowództwa polecenie udzielenia możliwych ułatwień korespondentowi wojennemu "*Times'a.*"

Russell dalej nie zraża się niczym. Kupuje konia i namiot i wykonuje w dalszym ciągu swoje zadanie. Na Krym dostaje się znów dzięki poparciu niezwykłego jak na owe czasy generała Sir de Lacy Evans, który miał pełne zrozumienie dla zadań i roli odgrywanej przez Russella.

W Londynie w międzyczasie zmieniono zdanie o wiadomościach i krytyce Russella. Okazały się one w pełni prawdziwe i uzasadnione. Przystąpiono pod ich wpływem do zmian i reform w wojsku. Na tym polega wielka rola i zasługa Russella oddana publicznej sprawie. Swą prawością i niezłomnością oddał on też przysługę sprawie dziennikarskiej, sprawie przyszłych korespondentów wojennych. Przełamał pierwsze lody nieufności i sceptycyzmu zbiurokratyzowanej kasty oficerskiej i urzędniczej w stosunku do prasy.

Gdy w czasie rozruchów w Indiach ten sam Russell zjawił się jako "*war correspondent*" naczelny dowódca brytyjski Sir Collin Campbell powitał go mniej więcej takimi słowami: — "Będzie Pan wiedział wszystko, co się dzieje. Będzie Pan znał wszelkie moje meldunki i rozkazy. Będzie Pan miał wszystkie informacje, które posiadam." Tak to Russell w przeciągu trzech lat zrewolucjonizował poglądy brytyjskich wojskowych na rolę prasy . . .

Potem był on jeszcze korespondentem w czasie amerykańskiej wojny domowej /1861/, podczas wojny prusko-francuskiej /1870/ i południowo-afrykańskiej /1879/, zawsze wykazując tę samą odwagę przekonań i uczciwość, które zrobiły go sławnym.

Po Russellu, drugim co do formatu korespondentem wojennym był Archibald Forbes, którego korespondencje przesyłane z frontu prusko-francuskiego dla "*The Daily News*" spowodowały, że dziennik ten stał się w swoim czasie jednym z pierwszych.

Pod koniec ub. wieku Wielka Brytania toczy szereg kolonialnych kampanii, z których najważniejszymi były kampanie Kitchenera w Sudanie i Południowej Afryce. W tym to czasie na czoło korespondentów wojennych wysuwa się młody współpracownik "*The Morning Post,*" dziennikarz — żołnierz, Winston Churchill. Wzięty do niewoli ucieka z niej i porzucając pióro chwyta za szablę.

W kampaniach afrykańskich zabłysła jeszcze jedna gwiazda dziennikarska — G. W. Steevens z "*The Daily Mail.*" Pismo to dzięki jego korespondencjom osiąga milionowy nakład.

Potem nadchodzi pierwsza wojna światowa z t.zw. "wielką piątką" korespondentów: Philip Gibbes, Beach Thomas, Percival Philips, Herbert Russell i Perry Robinson, których słynna kwatera polowa, odwiedzana przez wielu wybitnych mężów stanu mieściła się w Château Rollencourt. Wszystkim pięciu król angielski nadał szlachectwo w uznaniu zasług oddanych w czasie wojny.

Obecna wojna jest okresem rozkwitu instytucji korespondentów wojennych. Stało się to głównie dzięki generałom tej miary, co Wavell i Auchinleck oraz później dzięki generałom Alexander'owi i Montgomerry.

Gdy w grudniu 1940 roku Sir Archibald Wavell rozpoczął swą ofensywę było z nim 6 korespondentów wojennych. W listopadzie następnego roku w czasie ofensywy na Libię było ich już 50, a latem 1942 — 92. Korespondencje wysyłane przez nich wynosiły przeciętnie około 100.000 słów dziennie. Czterech oficerów przeprowadzało stale cenzurę wojskową tych korespondencyj. Cenzorzy wojskowi — jak pisał swego czasu "*The Daily Telegraph*" — są zawsze pogodni mimo nawału pracy i gotowi do przedyskutowania spraw wątpliwych i wynajdywania sposobów ominięcia drażliwych tematów.

Korespondenci wojenni sprawiają niewątpliwie kłopot władzom wojskowym, jak n.p. klient sprawia w ogóle kłopot urzędnikowi. Dla korespondentów *War Office* musiał na Bliskim Wschodzie utrzymywać przeszło 100 urzędników w wydziale *Public Relations* i 50 samochodów do dyspozycji dziennikarzy. Mimo to jednak Brytyjczycy, nauczeni doświadczeniem, zdają sobie sprawę z doniosłej roli, jaką korespondent wojenny odgrywa w życiu publicznym.

W tym wypadku Demokracja przez duże "D" nie jest frazesem wiecowym, ale jest urzeczywistniana w praktyce. Obywatel brytyjski za pośrednictwem prasy — podobnie jak i za pośrednictwem parlamentu — ma prawo informowania się, ma prawo znać fakty prawdziwe o sprawach państwowych, które go interesują i dotyczą oraz ma również prawo do krytyki nawet w czasie wojny i do wyrażania swej opinii. Opinia publiczna jest nieodzownym czynnikiem sztuki rządzenia w Wielkiej Brytanii.

Do tej konkluzji na odcinku wojenno-wojskowym nie doszło — jak widzieliśmy — od razu. Sir William Russell był pionierem w tej dziedzinie. Dzięki jednak osobistym zaletom jego i jego następców oraz dzięki rozsądkowi władz wojskowych potrafiono dojść do porozumienia.

"*Regulations for Press Correspondents accompanying a Force in the Field*" stawia sprawę jasno: "Istotą powodzenia w prowadzeniu wojny jest — tajemnica, istotą powodzenia dziennikarza jest — jawność i rozgłos." By pogodzić te sprzeczne cele regulamin odwołuje się do "dobrej woli" i "zdrowego rozsądku" zarówno dowódców, jak i dziennikarzv. Jedynie na tej drodze i przy pewnym kompromisie, zdaniem regulaminu, można dojść do porozumienia w tej ważnej sprawie. Regulamin brytyjski obdarza też pełnym zaufaniem dziennikarza, który traktowany jest pod każdym względem jak oficer tak długo, jak długo nie okaże się niegodnym tego zaufania. Oto stosunek do zagadnienia typowy dla mieszkańców tej Wyspy.

W Polsce, przed obecną wojną instytucja korespondentów wojennych nie istniała, aczkolwiek ze strony dziennikarzy, zarówno w mundurze, jak i "w cywilu" podejmowano liczne starania o jej stworzenie.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej kilku dziennikarzy literatów zgłosiło się na ochotnika, by pełnić obowiązki sprawozdawców wojennych. Nie byli oni jednak oficjalnie uznani.

Wtedy to Adam Grzymała-Siedlecki w mundurze strzelca, a nie korespondenta wojennego miał ową słynną przygodę . . . z kradzeniem owsa. Jechał on na furce wojskowej, powożonej przez bardzo wysoką szarżę, starszego strzelca. Droga była daleka, a konie dawno nic porządnego nie jadły i nie było nadziei na otrzymanie furażu. Mijano właśnie pole zżętego owsa. Pan starszy strzelec rozkazał "korespondentowi wojennemu" przynieść parę snopków. Grzymała bronił się, mówiąc, że to cudze, że kraść nie wypada. Nic nie pomogły perswazje. Grzymała poszedł kraść owies . . .

Później los dziennikarzy w wojsku nie wiele się poprawił. Powstał wprawdzie klub sprawozdawców wojskowych oraz lotniczych, odbywały się wykłady specjalne w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie, były różne starania, ale bez praktycznego rezultatu.

Sam zaś przebieg kampanii wrześniowej uniemożliwił wszelkie w tym kierunku poczynania. Krwawy i ofiarny Wrzesień przeszedł więc bez świadków. Świat niewiele wówczas się dowiedział — poza fałszem i umniejszaniem dokonanym przez potężną machinę propagandową Niemiec — o wysiłku, o bohaterstwie żołnierza polskiego.

Gdy wojsko polskie znalazło się w W. Brytanii, gdzie instytucja dziennikarzy wojennych miała już swoją chwalebną tradycję i wyrobioną pozycję — nadarzyła się wspaniała okazja wprowadzenia jej do Polskich Sił Zbrojnych. Dzięki staraniom dziennikarzy-żołnierzy oraz dzięki zrozumieniu, jakie inicjatywa ta znalazła w końcu u polskich władz wojskowych — w kwietniu b.r. ukazał się rozkaz Ministra Obrony Narodowej, tworzący instytucję korespondentów wojennych w Polskich Siłach Zbrojnych.

Tak więc niedawno wśród oddziałów naszych ukali się dziennikarze w mundurach wojskowych, bez dystynkcyj oficerskich, a jedynie z napisem "*Prasa-Press.*" Są to polscy korespondenci wojenni.

Z pewnością, śladem zaszczytnych wzorów kolegów brytyjskich oraz śladem zawsze ofiarnej i patriotycznej pracy dziennikarzy polskich, nasi korespondenci wojenni wykonają chlubnie zadanie opisania życia i walk polskiej Marynarki Wojennej, Lotnictwa i Wojska. Jesteśmy pewni, że wykonają oni obowiązek, który nakłada na nich rozkaz Ministra Obrony Narodowej, mówiący: "Korespondentowi wojennemu powinna przyświecać naczelna zasada, że wysiłek wojenny Polskich Sił Zbrojnych ma znaleźć w nim sumiennego informatora i rzecznika."

W pracy swej korespondenci wojenni znajdą niewątpliwie zrozumienie u dowódców polskich, jak nasi koledzy brytyjscy znaleźli u swoich.

Polski korespondent wojenny melduje się i przystępuje do swej odpowiedzialnej pracy — po raz pierwszy w dziejach dziennikarstwa i wojskowości polskiej.

WITOLD LEITGEBER

Odznaczenia brytyjskie dla polskich lotników



Dnia 16 listopada b.r. na jednej z polskich stacji lotniczych udekorowani zostali wysokimi odznaczeniami brytyjskimi polscy oficerowie myśliwcy: mjr. W/Cdr. Aleksander Gabszewicz, D.S.O., mjr. W/Cdr. Walerian Żak, D.F.C., i kpt. F/Ltn. Bolesław Gładych, D.F.C. Dekoracji dokonał Air Vice-Marshal H. W. L. Saunders, który po uroczystym akcie wygłosił krótkie przemówienie, podnosząc dokonania polskiego lotnictwa oraz męstwo odznaczonych.

Z pamiętnika pilota mysliwskiego

1940: La Perthe*

7 czerwca.

Lotnisko leży na gruncie kredowym pomiędzy lasem a jakimś dworem. Jest przytulone do lasu. Las schodzi ku lotnisku zagajnikiem z młodych sosen i brzóz. Pachnie sośniną i sianem. Na dworze spiekota. Powietrze faluje nad ziemią w śreżodze, a życie w południe przygasa i obumiera. Właśnie wylądowawszy w takie południe po przylocie z Burges wzięliśmy się do maskowania samolotów. Musimy powciągać swoje parotonowe gady w zarośla i umaić je ponacinanymi gałęziami. Pracujemy w koszulach bez mundurów, lecz koszule lepią się do ciała od potu. Część mechaników przyleciała za nami transportowcem, reszta przyjedzie samochodami wieczorem. Gomuliński przybędzie także wieczorem.

—"Trzeba nastraszyć Gomulińskiego — mówi Zantara. — Powiemy mu, że to nie folwark, tylko koszary. A w tamtym kącie lasu, powiemy mu, że są składy amunicyjne." Przyjmuję projekt, chociaż nie wydaje się mi, żeby ludzie tak łatwo w to uwierzyli. Okolica wygląda nazbyt zacisznie i pokojowo. To też gdy w parę godzin potem pojawia się zakurzony i rozglądający się za źródłem mogącym ukoić pragnienie, Gomuliński, opowiadamy mu to, cośmy poprzednio uchwalili. — "Nabieracie mnie" — powiada i ani krzty się tym nie przejmuje. Odjeżdża zresztą zaraz, żeby wyszukać dla nas nocleg. My zostajemy jeszcze na lotnisku w alarmie tak długo, dopóki nas nie zmienią. Po godzinie Gomuliński wraca. Jest zgaszony i markotny: — "Mieliście rację — mówi. — Ja naprawdę myślałem, że żartujecie ze mnie." Nie rozumiemy o czym on gawędzi. — "No mówię przecież o tych koszarach. Ja myślałem, że to jest folwark. Czyż nie wygląda stąd jak folwark?"

Były więc koszary. Za koszarami sześć dobrych stałych hangarów jeszcze z czasów wojny światowej. W lesie były składy amunicyjne. Niemcy już opukiwali tę miejscowość kilkakrotnie bombami. — "Co tak wybałuszacie na mnie ślepia — dziwi się Gomuliński. — Wygląda tak jakbyście osłupieli."

Niech kto spróbuje powiedzieć, że nie było powodów do osłupienia.

8 czerwca.

Lecimy pod wieczór w składzie 9 maszyn nad front. Wysokość 4.000 metrów. Nad La Ferthé Milon robi się małe zamieszanie. Dolne klucze coś spostrzegły i wychodzą szeroką, koncentryczną ławą do przodu. W przecięciu się przedłużeń ich kierunków widzę uciekający ciemny kształt samolotu. Zmyka ostro w dół. Atakuje go kilka "Curtisów," ale strzelają z daleka. Wybierają samolot na takiej odległości od Niemca, że mnie to rozdrażnia. Nurkuję gwałtownie z 4.000 na 1.000 metrów i oto już jestem dokładnie z tyłu za Niemcem. Teraz go rozpoznaję. "Henschel 126." Ale co to! Inne "Curtisy" pozostały w tyle. Przelotny rzut oka na ziemię tłumaczy mi wszystko. Jesteśmy nad linią frontu. W dole w smugach, w kłębach dymy. Co chwila wyrastają nowe. "Henschel" na pełnym gazie rwie wprost na północ pod osłonę własnych wojsk. Nikomu nie uśmiecha się zapuszczanie się tak nisko na tamtą stronę. Ale jestem tak blisko od gonionego. Czyżbym po to pikował 3.000 metrów, żeby teraz dawać za wygraną! W człowieku budzi się zwierzęca zaciętość charta goniącego zająca. Nie zważam na nic i zjeżdżam dalej w dół za "Henschlem" aż do śmiesznej wysokości około 100 metrów. Odległość pomiędzy mną a nim wynosi teraz 200 metrów. Daję krótką serię. Z kabiny obserwatora błyski strzałów. Kłapie ogniem jak zębami. Dochodzę do 50 metrów i całą mocą sześciu karabinów maszynowych piorę bez przerwy, jak do tarczy. Musiałem zamknąć gaz zupełnie, wjechałbym w niego. Przestał strzelać i z wirażu w lewo poszedł w ziemię, buchnąwszy od razu płomieniem. Nie oglądam się za nim, bo to może drogo kosztować i daję dęba na południe ku swoim.

Po wylądowaniu dwie rzeczy. Gratulacje i pretensje dowódcy dywizjonu, że jako boczny opuściłem jego klucz bez rozkazu. Miał oczywiście rację, bo postąpiłem wbrew dyscyplinie.

Cichy wieczór. Jakieś ptaki pokrzykują w zbożach. Od pól idą mocne i zdrowe zapachy. Gwiazdy połyskują i zorza obiecuje pogodę. Gomuliński idzie przy mnie, przystaje i bierze mnie za ramię. — "Popatrz . . . posłuchaj — mówi i robi ręką krąg ogarniający część świata. — A ludzie się mordują."

9 czerwca.

Miało być patrolowanie o świcie, ale odwołali, zatrzymując nas w pogotowiu. Wynalazłem część gołego gruntu, wolnego od trawy i rosy, rozłożyłem na nim kurtkę, umieściłem spadochron pod głową. Jakże niewymownie smakuje takie posłanie. Było tak błogo i rozkosznie, że marzyłem, by mieć takie leże w godzinę śmierci. Oddychać powietrzem, co pachnie jedliną i surowością mchów, jest zastałe i gęste od nocnych drzemań, na które kładzie się coraz mocniej zdrowy, młody dzień. Słuchać jak mądrze gada świerkowie pomieszane z brzozą i leszczyną, jak dzwonią ptaki i psykają pasikoniki w trawach. Gędźba tych drzew i błękit nieba były, jak w Polsce. I oto przychodzi Polska. Wypełnia każdy zakątek wyobraźni. Zakwitła, zaszumiała, poleciała melancholijnymi wzgórzami Nowogródzkiej ziemi od tęskniących oczu po horyzont, rozlała się sennymi jeziorami w puszczach. Przy drzwiach domu stał ojciec i żegnał mnie jak rok temu. — "Bywaj zdrów, mój synu" — powiedział wtedy.

Wyrasta cichy, coraz wzmagający się ból. Lecz sponiewierane, zmęczone ciało broni się snem. Zapadam w niego, jak w ogromny stóg siana, które mnie obejmuje i ukrywa przed oczami świata.

Z takiego bezprzykładnego, na zabój, spania wyciąga mię krzyk — "*Mission!*" — Słońce jest już wysoko i zabiera resztę wody z trawy. Horyzont zbladł i zaciągnął się jak zmętniałym szkliwem. Kilka cumulusów stoi nad pagórami w oczekiwaniu spiekoty, a ziemia zaczyna się rozpalać.

Musiałem spać kilka dobrych godzin. Niesmak w ustach i rozleniwienie w członkach. Spadochron jest tak ciężki, jakby nie był z jedwabiu, lecz z kamieni. Igliwo na plamach oświetlonej ziemi robi się gorące i trzaska pod stopami.

Startujemy w sześć samolotów na północ od Reims. Wysokość 1.500 metrów. Krajobraz księżycowy. Na ziemi krater przy kraterze. Wszystkie miejscowości płoną. Dym wznosi się do 2.000 metrów.

Po pół godzinie patrolowania dostrzegam idących z północy wprost na nas dziewięć bombowców niemieckich. Dostrzegam to na nieszczęście jeden z całej grupy. Daję znaki, wyprawiam harce samolotem. Zrozumieli, że coś widzę, ale sami ciągle nie widzą niczego. Zobaczyli, gdy wyprawa była na piętach. Kilku zaatakowało pojedyńczo. Atakowałem również, ale bez rezultatu. Musiałem przerywać ogień na 200 metrów i nie starałem się podejść bliżej, gdyż było by to samobójstwem.

Wyprawa leciała zwarcie i tak mądrze rozplanowana w dół, że wszystkie samoloty miały otwarte pole ognia do tyłu i w górę. Wszystkie też nie będąc niepokojone z innych kierunków koncentrowały cały ogień na pojedyńczym samolocie, który je atakował. Była to sprawa beznadziejna. Tak się mści nasze nieprzygotowanie do działań zespołowych, brak wyrobienia instynktów stadnych. Sześciu luzem działających pilotów na dobrych maszynach jest bezsilnych wobec dobrze się trzymającego, niezdemoralizowanego nieprzyjaciela.

Po chwili nadlatuje druga dziewiątka. Atakuję tym razem z przodu. Był to niefortunny kąt ataku i krótka seria; nie spodziewałem się wiele po niej. Bez zdziwienia po zawrocie zobaczyłem w odległości jednego kilometra wszystkie 9 bombowców, kontynuujących swój lot cało i zdrowo.

W górze na 4.000 metrów widzę kilka "Messerschmittów 109." Cała nadzieja, że może nas nie dostrzegą, bo ta przewaga wysokości, jaką mają na dobre by nam nie wyszła. Potem od razu w kilku miejscach równocześnie dostrzegam kilka wypraw. Wszystkie idą z północy na południe. Aż czarno od nich w powietrzu. Zostałem z trzema "Curtisami." Gdzie się podziała reszta — nie wiem.

Znowu atakujemy jedną wyprawę. Dochodzę coraz bliżej, pomimo ognia stamtąd, bo zaczynam się złościć. Ale nie ma mowy, by podejść tak blisko, jak do "Henschla." Błyski z tylnych wieżyczek przemawiają nazbyt dosadnie. Jednak jeden "Junkers 88" odrywa się od wyprawy i zmyka na północ. Postrzelany, ale przez kogo? Nic nie wiadomo w takim bałaganie. Oderwał się od zgrupowania w momencie, gdy wyciągałem swój samolot w bok i w górę, tak że skrzydło przesłoniło mi widok na dobrą chwilę. Teraz już nie dogonię.

Znowu zbieramy się do kupy w czterech i krążymy nad Reims. Znowu inna wyprawa bombowa. Jesteśmy wyżej i od słońca. Daję sygnał do ataku i idę pierwszy. Za mną ktoś drugi. Przejeżdżam się dobrym, długim ogniem po prowadzącym wyprawę. Po zrobieniu wirażu jestem sam. Tamci nie atakowali. Dlaczego — któż to wie. Może już nie mają amunicji. Krążą ciągle nad Reims, tymczasem pomiędzy mnie a nich, wrzyna się piątka "Messerschmittów 110."

Nabieram wysokości, ale silnik chłodzony powietrzem w tym upale /poniżej 1.000 metrów/ słabo ciągnie. "Messerschmitty" robią zwrot i idą wprost na mnie. Co robić? Pikować — pójdą za mną. Decyduję się przyjąć atak. Zdążyłem nabrać około 50 metrów przewagi. Zwracam się do nich twarzą w twarz. Atakuję bocznego z prawej. Jeszcze miałem trochę amunicji; strzelały dwa karabiny, ale po krótkiej serii ucichły.

W przelocie mijam ich z odległości kilkudziesięciu metrów. Dymią do mnie z tylnych wieżyczek, jak szatany. Pikuję do ziemi. Nie pogonili za mną. Uciekłem. Po "Curtisach" ani śladu. Wszędzie Niemcy. Mam wrażenie, że samolot musi być cały posiekany od kul. Po wylądowaniu zdumienie — ani jednej dziury.

Nadal nieumiejętna, niedołężna gospodarka dywizjonem. Mamy 34 samoloty. Przyjąwszy jako normalny wysiłek bojowy pilota dwa długie loty, można z tego ułożyć kombinacje lotów 2 razy po 30; 3 razy po 20; 4 razy po 15. Tłumaczę im, że każda z tych kombinacji jest lepsza od X razy po 7 lub 9. Wszyscy się z tym zgadzają, ale . . . rozkładają ręce. Dowódca dywizjonu, najsympatyczniejszy człowiek w świecie, o ile chodzi o życie towarzyskie i lubiany poprzednio w czasach *dolce far niente*, teraz zaczyna być znienawidzony za swoje kunktatorstwo, brak zdrowego rozsądku i charakteru. Chce zadowolić wszystkich w sztabach, którzy mu wydają jakiekolwiek rozkazy. Kłania się w telefon odbierając polecenia: — "*Bon . . . très bien . . . entendu . . . ça va, parfaitement . . .*" Może tak mówić przez pół godziny. A ci, którzy mu wydają rozkazy nie byli tu, nie widzieli frontu i nie mają zielonego pojęcia o tym, jak wyglądają Niemcy w powietrzu. Dzięki temu zawsze spotykamy się z przewagą. Nie możemy rozbić zgrupowania bombowego. Szwabi robią co chcą i kpią z nas.

Latamy więc małymi zgrupowaniami, czasem nawet po 4 razy dziennie, byle tylko wysłużyć się wszystkim, którzy żądają lotów, byle mieć zadokumentowane na papierze, że lot odbył się zgodnie z rozkazem. To męczy i obniża zaciętość. Najgorsze są jednak nieustanne czekania w alarmie. Osobiście wolę lot, niż czekanie, bo wreszcie przeżywam coś realnego i wiem, że gdy wrócę, będę miał chwilę świętego spokoju. Czekanie całymi godzinami ze wszystkimi niewiadomymi: kiedy, dokąd i w jakim składzie zupełnie wyżyłowuje człowieka z energii i entuzjazmu życia. Stajemy się zgorzkniali, pesymistyczni i apatyczni. Wyobrażam sobie, że piekło to będzie właśnie wieczne czekanie na niewiadomo co i niewiadomo kiedy.

Moi mechanicy kopią od kilku dni schron w lesie. Pomagam im w tym pracą i wskazówkami, gdy nie jestem w alarmie. Oczywiście Gomuliński pracuje, jak prosty robociarz za dwóch. Ponieważ grunt jest kredowy, więc portki Gomulińskiego wyglądają tak jakby były złupione z młynarza. Mundur za to chytrze zdjęty wisi na kołku, przynęcając wonią potu muchy. Przy kopaniu, metr pod powierzchnią ziemi natrafiono na jakieś blaszane naczynie. Dla lepszego efektu należy to powtórzyć: w głębi lasu i metr pod powierzchnią. Było zcementowane z gruntem w jedno. Ani chybi — skarb. Gdy z poszmerkiem sensacji odłupywano narost ziemi z jego ścianek, oczom wszystkich ukazał się urynał. — "Za przeproszeniem — powiada Gomuliński. — Nie wiedziałem, że te użyteczne naczynia istniały już w epoce kredowej."

Schron piękny, rośnie jak na drożdżach. Daliśmy pokrycie z żelaznych krat, grubych bierwion i worków z piaskiem. To wszystko budzi zaufanie. — "Teraz nie boimy się niczego" — mówią chłopcy. Uśmiecham się cicho. Nie powiem im przecież tego, że Lansoy, który lądował dziś przymusowo w Reims, widział tam doły po bombardowaniu o średnicy 20 kroków. Gomuliński mówi: — "Człowiek jest nieprzemyślnie zbudowany. Głupi żółw ma swoją "opepanc" na karku, a my nic."

Wieczorem znowu lot w 9 samolotów. Front na naszym odcinku biegnie: północ Reims, północ Château Thierry. Osłaniamy "Poteza," który idzie na rozpoznanie. Jestem bocznym w kluczu Corniglione. Zaraz za frontem napotykamy około 30 bombowców nieprzyjacielskich osłanianych kluczami "Messerschmittów 110."

Wisiały bestie naokoło ciężkiego jądra bombowców jak kiście gron. Było silne zamglenie przestrzenne, tak że wlecieliśmy jedni na drugich nos w nos. Cała nasza wyprawa rozprysnęła się, jak spłoszone muchy. Wieliśmy rozpaczliwie. Dołączyłem do jakiegoś "Curtisa." Był to właśnie Corniglione. Wracamy tak we dwóch smutni i zgorzknieli z niesławnego lotu. Nic dziwnego. Jesteśmy wszyscy zdemoralizowani przewagą Niemców. Od niepamiętnych czasów, bo od Cambrai nie widziałem zgrupowania niemieckiego w powietrzu, które byłoby słabsze, lub chciażby równe naszemu. Stale druzgocząca, wielokrotna przewaga. Jest konieczne w takiej sytuacji użyć kilkakrotnie silniejszego zgrupowania myśliwskiego 50 — 60 samolotów i rozbić kilka wypraw bombowych. Byłby z tego niewątpliwie piękny sukces materialny, a poza tym pozwoliło by to nam odzyskać wiarę we własne siły, jak również utrzeć nosa niemieckiej bezczelności.

10 czerwca.

Wieczorem lecimy w 8 samolotów nad Château Thierry. Zaraz po przekroczeniu Marny dostajemy się w gęsty i dobrze kierowany ogień artylerii. Patrolujemy wobec tego na brzegu południowym. Po pół godzinie ukazuje się przeszło 20 samolotów niemieckich idących zdecydowanie w naszym kierunku. Nawet nie wiem, co to były za samoloty. Uciekamy przed nimi tak, że ledwie nie gubimy skrzydeł. Najwaleczniejsi piloci w dywizjonie są zdemoralizowani złym użyciem. Tymczasem jeden z dywizjonów na "Devoitinach" strącił podczas jednej wyprawy 12 samolotów niemieckich. Oczywiście nie pracował tak, jak my sześcioma lub dziewięcioma samolotami, lecz poszedł całością w powietrze.

Na naszym lotnisku wylądował dywizjon "Blochów." Stoją w szczerym polu skupione, niczym nie osłonięte, ani zamaskowane. Razem z naszymi samolotami zbiera się więc na niedużej przestrzeni ponad sześćdziesiąt samolotów. Ta lekkomyślność i jakby rozmyślne kuszenie przeciwnika wystawianiem swoich sił na dogodne uderzenie sprowadza na mnie żółciowe usposobienie. We Francji pełno szerokich, płaskich pól. My stale pracujemy z lotnisk pokojowych, doskonale Niemcom znanych i sfotografowanych.

Późnym wieczorem wiadomość. Włochy wypowiedziały Francji wojnę. Coraz ciemniej.

11 czerwca.

O świcie osłaniamy w dziewięć samolotów "Poteza," który idzie na rozpoznanie. Nad Château Thierry, z północnego brzegu Marny dostajemy wściekły ogień artylerii przeciwlotniczej. Front dziś przebiega według tego, co można osądzić ze skąpych wiadomości w gazetach i według tego co sam widziałem z powietrza następująco: Pont de l'Arche — północ Beauvais — Montdidier Noyon — północ Château Thierry — Reims? — Le Chesne Populeux.

"Blochy" wyniosły się na szczęście z lotniska w południe. Pod wieczór, gdy byłem znowu w powietrzu, niemiecka wyprawa bombowa zrzuciła bomby w las obok naszego lotniska. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż ani "Blochów" ani większej części naszych maszyn nie było, a ta garstka co pozostała była dobrze zamaskowana. Gdyby tak przylecieli o cztery godziny wcześniej, mieliby używanie. Schron, który kopaliśmy w pocie czoła, tak napęczniał chętnymi do przykrycia głowy, że ani jeden z tych co go kopali, nie mógł się wcisnąć do środka.

12 czerwca.

Z wczorajszej wyprawy dwóch nie wróciło. Jeden, sierżant Emlenger, bardzo dzielny pilot i porządny chłopak. Niemcy idą ciągle naprzód. Dzień dżdżysty. Przenosimy się do Auxerre. Moją maszynę zabrał Corniglione, bo jego słabo ciągnęła. Nasi mechanicy mówią, że jego maszyna została przegrzana przez długi lot na pełnym gazie. Polecieli we dwóch z dowódcą dywizjonu nad front. Po co i komu ten lot był potrzebny nikt w całym dywizjonie nie mógł zrozumieć. Zdaje się, że był to po prostu wyskok dowódcy. Latał dotychczas mało, ale kiedy leciał, tak się dziwnie składało, że wracaliśmy bez przeżyć, nie spotykaliśmy nikogo i nikt do nas nie strzelał z dołu.

Co robili, gdzie się pętali, im tylko wiadomo, dość iż późnym wieczorem przyszła wiadomość, że dowódca na postrzelanej maszynie skapotował, a Corniglione lądował z powodu braku benzyny. Musieli latać cały czas na wysokości 100 do 200 metrów, bo wyżej były chmury. Takie nikomu niepotrzebne wycieczki nad frontem bez żadnego rozkazu, służenie wszystkim ciurom niemieckim za cel i gubienie maszyn, to też pewnego rodzaju głupota i przestępstwo wojenne. Dowódca powinien być ukarany, ale on na pewno wierzy, że to było bohaterstwo.

W dżdżu i ciemnicy przelatujemy po czubkach drzew na nowe lotnisko. Ciągle na południe i na południe. Kiedy zawrócimy znowu na północ? I czy w ogóle zawrócimy?

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. część pierwszą: "1940: Cambrai" druk. w nr. 42, część drugą: "1940: Beauvais" druk. w nr. 43, część trzecią: "1940: Persanne Beaumont" druk. w nr. 45, część czwartą: "1940: W obronie Paryża" druk. w nr. 46 "Polski Walczącej" z b.r.

Bez blackoutu

Krew jest żółta. Tak jest! Najbardziej wartościowa, esencjonalna jej treść jest żółta. Amarant krwi to wymysł poetów. Purpura krwi to fantazja pieśniarzy. O błękicie nie ma mowy. Przestarzała fikcja arystokracji. Krew jest żółta. Że jest tak a nie inaczej, dowiedziałem się, ze skruchą przyznaję, dopiero przed kilku dniami. Był to dla mnie wstrząs, dla piosenkarza i wierszoklety było to coś



Dr. J. Czekałowski i dr. C. P. Stewart

nie do pojęcia. Ale mój Cicerone był uparty i stawiał przede mną flaszkę po flaszce żółtej zupełnie krwi. — "Plazmy — krwi" — słyszę, jak mnie poprawia.

Działo się w zacisznym, olbrzymim gmachu: chluby Edynburga, Royal Infirmary. W podwórzu jakaś brama, na niej tabliczka: "Scottish National Blood Transfusion Service," a obok miły oku napis: "P.C.K. — Instytut przetaczania krwi." Mój informator dr. Jarosław Czekałowski, młody uczony, ale stary znajomy z uniwersyteckich czasów lwowskich. Z tym większą przyjemnością podejmuję zadanie zwiedzenia Instytutu, z tym większą bezceremonialnością nudzę Jarka i "przetaczam" mu jego krew. Dziwię się nawet, że nagła go nie poniesie ze złości na moją naiwność medyczną.

Chodzę za nim, jak błędny po korytarzach, łażę po salach, na piętra i do suteryn, oglądam tajemnicze aparaty, o których istnieniu pojęcia zielonego nie miałem, wypijam jakąś "cup of tea," po tym Jarek zamyka mnie w lodowni, gdzie jest mniej więcej 35 stopni mrozu, a dokoła mnie wirują flaszki ze sproszkowaną krwią. W głowie mi się kręci, takie mój przewodnik dał tempo. Dwóch jego młodych współpracowników-lekarzy krąży ze mną po gmachu. Są niemniej od niego zgorszeni moją, absolutnie już stwierdzoną tępotą chemiczną. Kolega Kafel targa brodę ze złości a Valis /V — for Victory/ z grzeczności, po dawnej znajomości lwowskiej, zmienia temat rozmowy na mniej fachowy, żeby mi ulżyć.

W końcu wyczerpany własnymi pytaniami siadam w jakimś małym pokoiku, zamykam drzwi w obawie, aby mnie nie położyli na łóżko, których tu wiele i nie wypompowali resztek sił, które we mnie zostały. Oddycham lżej, biorę kartkę i spisuję wrażenia. Przecież to ma być reportaż. Przygotowałem pytania, teraz wszystko leży w gruzach. Obok mnie, w tym samym pokoiku dr. Czekałowski przelewa coś z jednej próbówki do drugiej, miesza, wącha, eksperymentuje. Postanawiam to samo zrobić z reportażem.

Biorę do próbówki pomysł fachowo-naukowy. Najłatwiejszy. Po prosty oderżnę od Jarka wszystkie cyfry, procenty rozpuszczania, osuszania, a on mi napisze jakieś bardzo mądre zdanie o wirówkach i ciałkach. Nie, nie, nie. Nigdy! Tego tylko jeszcze brakowało. Gotów to odkryć Pruszyński, a na pewno zna się na przetaczaniu krwi doskonale. Odrzucam pomysł.

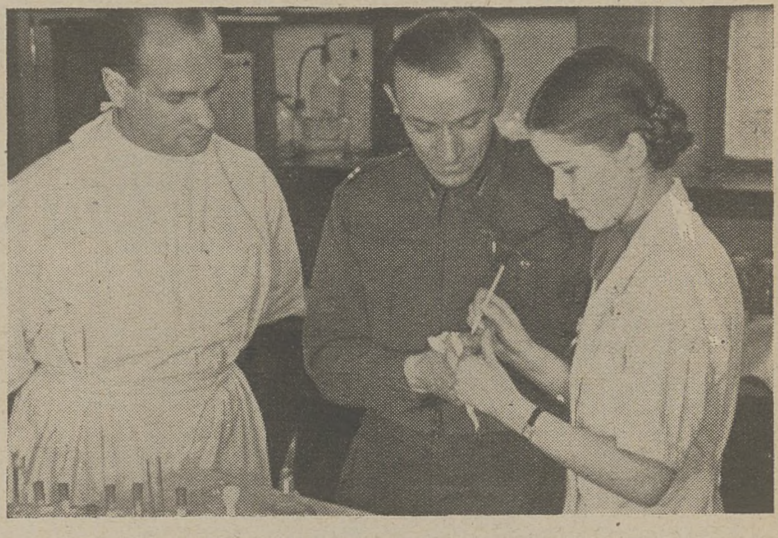
Biorę do próbówki drugi pomysł: felieton wywiadowczy. Stary kawał: ja się pytam, a ktoś odpowiada. I w ogóle za wszystko odpowiada: za to, co ja pytam i za to, co on odpowiada. Po chwili namysłu treść tej próbówki wylewam bez wąchania.

Zaczynam eksperymentować; mieszam dwie substancje: zasadę szczerości z rozczynem prostoty. Może coś z tego wyjdzie. Zasada lubi wywoływać kwasy, więc trzeba działać ostrożnie, ale można spróbować. Mam samopoczucie pioniera chemicznego. Tak pewnie musiał czuć się dr. Czekałowski, gdy pierwszy raz stosował kaolin celem ulepszenia metody suszenia krwi. Kaolin? Ludzie! W co ja się wmieszałem! Zasado prostoty i rozczynie szczerości ratujcie mnie!

Więc: Polski Czerwony Krzyż wszedł w kontakt ze "Scottish National Blood Transfusion Service," uruchomił, wyposażył i opieką otoczył "Instytut przetaczania krwi" przy Royal Infirmary w Edynburgu. Instytut chlubi się dziś doskonałą współpracą ze szkockimi sferami naukowymi, a w szczególności współpracą i przyjaźnią dra C. P. Stewarta. Nasze wojskowe władze sanitarne doceniły poważne zadania Instytutu, przydzielając dwóch wspomnianych już młodych lekarzy w charakterze stałych asystentów, a w przyszłości instruktorów-specjalistów w konserwowaniu i przetwarzaniu krwi. Pracują oni za sześciu, a będą musieli zwielokrotnić jeszcze swoje wysiłki, czeka ich bowiem fachowe szkolenie w dziale praktycznym innych lekarzy wojskowych z terenu.

Kierownik Instytutu żywi głęboką wiarę, że "teren" łatwo odkomenderuje kandydatów na staże i kursy praktyczne, związane z tym niezwykle ważnym działem pracy. W tej chwili bowiem poza tą stałą "Konferencją Trzech" /Czekałowski — Kafel — Valis/ pracuje tylko mały sztab polskich pań, które bardzo rzetelnie i ofiarnie szkolą się w Instytucie w charakterze laborantek i pomocniczek technicznych.

Główne założenie prac Instytutu streszcza się w trzech słowach: KREW DLA POLSKI. Tutaj, w tym zacisznym zakątku historycznej stolicy Szkocji, dokąd codziennie gazety przynoszą wiadomości o tak okrutnie przelewanej w Kraju krwi polskiej — odbywa się codzienne, systematyczne, naukowo obmyślone przygotowanie zapasów ludzkiej krwi w stanie su-



Pobieranie krwi do oznaczenia grupy

szonym dla Polski. Dla wygłodzonych dzieci, dla wycieńczonych kobiet, dla ocalałych z piekła obozów koncentracyjnych istnień ludzkich, dla wyczerpanego narodu.

Piękna praca, Panie Profesorze, Szanowny Prezesie Polskiego Czerwonego Krzyża! Piękna praca, Drogi Doktorze Jarosławie! Rosną te flaszczyny z dnia na dzień, zbiera się potężny magazyn, rośnie coś więcej: s y m b o l. Żołnierz polski, stacjonowany w Szkocji, zgłasza się masowo jako krwiodawca — oddaje krew dla Polski. Żołnierz zaszanowany, żołnierz dobrze odżywiony, któremu los wojny dał chwilowy urlop od działań wojennych, rozumie olbrzymie znaczenie tej jednej szklanki, tych 400 centymetrów krwi, które zakonserwowane, suszone w słojach czekają każdej chwili gotowe. Suszona plazma krwi ratuje poparzonych w akcji żołnierzy broni pancernej, marynarki, lotnictwa, będzie leczyć wypadki szoku z urazów, będzie nieść ratunek wygłodniałym.

Jakaś wzruszająca łączność nawiązuje się w cichej pracowni pomiędzy tą straszliwą strugą krwi płynącą w Kraju i tymi kroplami żołnierskiej krwi, oddawanej z myślą o Polsce. Akcja oddawania krwi, prowadzona przez Instytut w oddziałach, dała nadspodziewane rezultaty: masowo zgłaszali się wszyscy żołnierze, gremialnie Polacy p r z y b y l i z R o s j i. Czy to nie piękne? Czy to nie pocieszające w tak bardzo żółciowej atmosferze ogólnej?

—"Nie trzeba było żadnej "propagandy" w tej sprawie — mówi dr. Czekałowski. — Po prostu przed pobraniem krwi wygłaszano objaśniającą pogadankę, która informowała przede wszystkim o głównym zadaniu, a poza tym zaznaczała, że oddanie tej ilości krwi nie wycieńcza krwiodawcy, że nie każda krew może być pobrana, że suszona plazma krwi specjalnie konserwowana trwać może latami, że próby dały pozytywne i szczęśliwe wyniki."

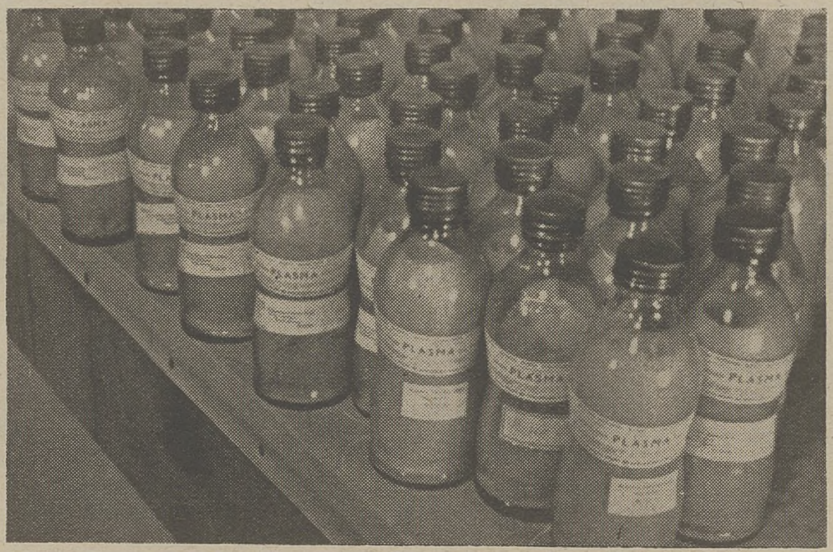
Obecnie Instytut P.C.K. zamierza zwrócić się z apelem do Polaków z emigracji cywilnej o zgłaszanie się na krwiodawców. Myślę, że jesteśmy zanadto krwiści, że akcja ta może nawet trochę uspokoić temperamenty emigranckie, więc tym bardziej apel wydaje się na czasie. Zresztą chodzi tylko o 400 centymetrów. Jedna "small"!

A propos. Krew nawet trochę "ankoholicznego" gościa też jest dobra, więc nie wykręcajcie się bywalcy barów i klubów. Dr. Czekałowski mówi: spirytus wyparuje, zostanie czysta krew. Pijemy sobie krew nawzajem, panowie, w polemikach, sporach i plotkach — bez celu. Więc gdy przyjdzie prośba Instytutu P.C.K. o waszą szklaneczkę krwi dla celu naprawdę wielkiego — nie żałujcie jej. To krew dla Polski.

Niech rośnie jak symbol na tej emigracji — arsenał Instytutu P.C.K., arsenał butelek z żółtą, suchą krwią.

WIKTOR BUDZYŃSKI

"Krew dla Polski" — suszona plazma krwi



Zdjęcia Wojskowej Sekcji Foto-Filmowej

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE UŻYCIA I ZADAŃ NASZYCH SIŁ ZBROJNYCH NA OBCZYŹNIE

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Mieczysław Pruszyński poruszył w "Wiadomościach Polskich" sprawę organizacji i użycia naszego wojska.

Słusznie twierdzi, że wojsko nasze z punktu widzenia polskiej racji stanu posiada przede wszystkim propagandowe czyli inaczej mówiąc: polityczne znaczenie. Istotnie jednostki polskie o ile dla sprzymierzonych są wyrazem siły i znajdują miejsce w ich *O de B* wojennym, to dla nas są tylko instrumentem polityki, wyrazem woli i honoru państwa. Sprzymierzonym pomagamy. W ciężkich chwilach i jedna dywizja coś, nawet wiele znaczy. Granic Polski jednak jednostki polskie, znajdujące się w Wielkiej Brytanii wyrąbać nie będą w stanie. Z tego musimy zdawać sobie sprawę.

Projekt zatem używania Wojska Polskiego mniejszymi jednostkami, lecz stale na froncie był pod każdym względem słuszny. Piszę: "był," ponieważ teraz czas koniunktury na takie rozwiązanie minął. Teraz już wszystkie jednostki polskie istnieją gotowe, Sprzymierzeni na nie liczą a żołnierze wszystkich stopni mają już dość garnizonowego życia. Teraz jakiekolwiek zmiany w organizacji byłyby źle widziane, tym bardziej, że broniliśmy się dotąd przed wysyłaniem mniejszych jednostek na front.

Sprawa, którą porusza p. Pruszyński, była żywo dyskutowana w roku 1941. Zwyciężyła jednak koncepcja wielkich jednostek. Autorzy tej koncepcji sądzili, że duże jednostki naszego wojska przysporzą nam wagi politycznej i wojskowej. Wierzyli oni też w napływ rezerw z Rosji. Wypadki poszły w innym kierunku.

Powstaje jednak pytanie, co robić dalej? Jednostki polskie z chwilą wyjścia na front zaczną topnieć. Obawiam się, że z braku rezerw możemy być zmuszeni do redukowania ilości jednostek. Najważniejszą zatem naszą troską musi być zapewnienie rezerw. Nie trzeba bowiem chyba uzasadniać, jak wielkie znaczenie będzie miało utrzymanie naszego wojska w stanie wartości bojowej w końcowej fazie wojny. Zapewnić rezerwy, to znaczyć będzie: powołać wszystkich nie pracujących dla wojny pod broń, nie oglądając się na nic, ani na wiek, ani na powojenną pracę, ani na stopień. W nowoczesnej jednostce dla wszystkich jest miejsce, jeśli nie w linii, to w taborze. Znakomity pisarz Sieroszewski n. prz. jako starszy pan służył w Legionach w kawalerii i jakoś był pożyteczny. Kto odważa się twierdzić, że służba szeregowego w nowoczesnym zmotoryzowanym wojsku stała się trudniejsza fizycznie, ten dowodzi, że nie zna wojny 1914-1918.

Druga sprawa poruszona przez p. M. Pruszyńskiego dotyczy wyszkolenia dowódców. Podpisuję się z przyjemnością pod wszystkimi wywodami o konieczności dobrego wyszkolenia dowódców. Protestuję jednak przeciwko tezie szkolenia dowódców na "po wojnie." Zastanówmy się przede wszystkim, po co tu przybyliśmy. Czy po to, żeby walczyć i wygrać wojnę czy zaś, żeby szykować się do organizowania wojska pokojowego i szykowania się do nowej wojny? Po odpowiedzi na to pytanie warto się zastanowić, czy jest nas nadmiar do prowadzenia walki?

Zdaje się, że odpowiedź wypadnie jasna, szczególnie jeśli się zważy, iż wszystkie państwa sięgnęły po najstarsze rezerwy ludzkie. Szkolenie i przygotowywanie przyszłego wojska polskiego zapewnią ci, którym szczęście wojenne będzie sprzyjać i wrócą do Polski z doświadczeniem walki. Zadaniem nas wszystkich poza granicami Kraju natomiast jest walka i doprowadzenie do wygrania wojny przez Polskę. Mam na myśli wojnę we wszystkich jej wymiarach. Szykowanie się na "po wojnie" uderza w ideowe podłoże naszej działalności zagranicą, jest chowaniem głowy w piasek, jest dowodem nieznajomości współczesnych sposobów prowadzenia wojny, jest samowolnym przestawieniem ciążącego na nas zadania, jest wreszcie osłabieniem wysiłku wojennego.

W Kraju nikt na pewno nie myśli o tym, że szykujemy się do tego, jak urządzać Polskę po wojnie. Do tego nas na pewno nikt nie upoważnił. Żądają od nas, abyśmy przyszli z wygraną wojną i to wszystko. Troskę o to, co będzie po wojnie, zostawmy im. Wygrać wojnę — to olbrzymie zadanie. Jeżeli je wykonamy, będzie dostatecznym tytułem do zasługi, do poczucia dobrze wypełnionego obowiązku i do prawa dalszej pracy nad budową naszej Ojczyzny w nowych, całkiem nowych warunkach.

Wygrajmy wojnę tak, aby te warunki były jak najkorzystniejsze.

Tadeusz Zakrzewski

BOŻE NARODZENIE DLA JUNAKÓW

Dear Sir,

I thank you for your letter dated October 20th. I will get in touch with the C.O. at Halton as soon as possible. I have several other Polish Forces coming for Christmas if all is well with them, then the younger boys will be happier with those who speak their own language.

Yes, you can publish my letter if you wish. I have no objections whatsoever.

I greatly admire Poland and every one of you for your great devotion to your country, and if at any time I can offer any of you any hospitality I gladly do so, and with gratitude for all you have done in this war.

Very sincerely yours,

Mrs. E. A. Savage

DOROCZNE ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE

Członków Związku Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, Sekcja w Londynie odbędzie się w sobotę 4-go grudnia 43 r. w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Square, S.W.1. Początek obrad o godzinie 10 rano.

Nabożeństwo żałobne za dusze poległych i zmarłych dziennikarzy polskich odprawi ksiądz prałat Z. Kaczyński w Westminster Cathedral, Lady Chapel, w dzień Zjazdu o godz. 9.30 rano.

Dla Polaków w Rosji: £10,381

Przy niniejszym przesyłam przekazy pocztowe na łączną sumę sh.25, z prośbą o przekazanie jej do funduszu pomocy Polakom na Wschodzie.

Z żołnierskim pozdrowieniem

pchor. J.S.

* * *

Na dzieci z Rosji 10 szylingów.

Pawełek D.

* * *

W załączeniu przesyłam 10 szylingów na dzieci polskie z Rosji jako stałe opodatkowanie za ms. październik i listopad 1943.

Z szacunkiem

Czesław Wielgus

* * *

W załączeniu przesyłam money order na sumę £3 /trzy funty/ zebrane na loterii w świetlicy lotniczej w N.

Maria Aleksandrowicz
świetliczarka

* * *

Ponieważ Ks. Kpl. Ostaniewicz nie przyjął żadnej ofiary za odprawioną żałobną mszę św. za duszę mojego Ojca, zmarłego w 1941 r. w Rosji, przeto przesyłam Panu sh. 10 /dziesięć/ na pomoc Polakom w Rosji.

Z poważaniem

W. Władysław

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Bezimiennie sh. 3.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £5.18.0 /słownie pięć funtów i osiemnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,381.6.11 /słownie funtów dziesięć tysięcy trzysta osiemdziesiąt jeden, sześć szylingów i jedenaście pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

DLA JUNAKÓW

Niniejszym przesyłam M.O. na sumę £5.0.0, złożonych przez kucharza J. Piatyszka na Fundusz dla Junaków z Rosji.

Kapitan s/s "Narocz"

Pieniądze te przesłaliśmy do Komendanta obozu Junaków w Wielkiej Brytanii.

* * *

POLKI AMERYKAŃSKIE DLA LOTNIKÓW

Drogi panie doktorze,

Kółko pań w Passaic przesyła $15 /dol. 15/ naszym kochanym lotnikom na łakocie, $5 uprzejmie prosimy przesłać żołnierzowi plut. Czesław R. adres przez niego podany Polish Forces Paiforce N.424. List jego wysłany z . . .

Nasza poczta listu do niego nie przyjęła ponieważ adres niedokładny. Może panom się uda odszukać tego żołnierza czołgistę.

Życzliwa i oddana

Zofia Rutkowska
443, *Paulison Ave., Passaic, N.J.*

Pieniądze te /po przeliczeniu na walutę angielską £2.9.5/ przekazaliśmy do dyspozycji Inspektoratu Sił Powietrznych.

Kwotę £1.4.8 /równowartość dol. 5/ prześlemy plut. Czesławowi R.

Koło Opieki nad Żołnierzem zawiadamia PP. Ofiarodawców, że kwota £4 sh.1 d.1½ doraźnie zebrana na paczki dla jeńców po koncercie Lwowskiej Fali w dn. 31.XI.1943 r. w Domu Żołnierza Polskiego — 9, Moray Place, Edinburgh — została skierowana do P.C.K. przez Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet Oddział w Edinburgh'u.

Zbiórka książek

Kpt. J. Sz. przesłał: N. Henderson: "Failure of a Mission." H. Nicolson: "Why Britain is at War." A. Smith: "The Wealth of Nations." "Basic English for Polish Students." Eckersley: "Essential English" /3 egz./. "Common-Sense English Course ." "English Grammar" /2 egz./. Berlitz: "Method for Teaching Modern Languages." A. Graham: "Does Poland Matter to Britain." "Guide of Edinburgh." Plimmer: "Food Values in Wartime." R. Vansittart: "Czarny Rejestr." B. Boswell: "The Survival of Polish Civilisation." M. Kukiel: "The Polish-Soviet Campaign of 1920." A. Żółtowski: "Germany, Russia and Central Europe." A Speech by Winston Churchill. Biblia święta i dwie broszurki.

* * *

Książkę tą daję dla rodaków na Wschodzie lub w Afryce zależnie od uznania WPanów.

M.S. z "Lwowskiego Dywizjonu"

Załączone: Z. Nowakowski: "Rubikon."

* * *

Przesyłam książki dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie.

ppor. H.K.

Załączone: X. Pruszyński: "Poland fights back." "1000 słów po angielsku." F. Sokołow: "Kawalkada angielska." "Kraj lat dziecinnych."

* * *

W załączeniu przesyłam pięć książek dla Polskiej Armii na Środkowym Wschodzie: J. Piłsudski: "Rok 1920," S. Strzelecki: "Goering poluje na rysie," S. Mackiewicz: "Klucz do Piłsudskiego," A. Fiedler: "Dywizjon 303," "Combined Operations."

Ppor. K.Z.

Dla jeńców: "paczki od serca"

Marianowie Kukielowie zamiast przesyłania życzeń świątecznych i noworocznych składają na rzecz jeńców polskich w Niemczech kwotę pięciu gwinei.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam przy niniejszym czek na sumę £20.5.0. Jest to czysty dochód z Wieczoru Autorskiego Mariana Hemara, urządzonego d. 19 b.m. w ramach wieczorów Autorskich P.E.N. Klubu Polskiego. Sumę powyższą prosimy uprzejmie przeznaczyć na "paczki od serca."

Sekretarka P.E.N. Klubu Polskiego

* * *

Pracownicy wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Nar. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc listopad 1943, £21.11.6 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, jedenaście szylingów, 6d./.

* * *

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ na pomoc polskim jeńcom wojennym /szeregowym/ w Niemczech jako przegrany zakład.

O.Z., R.Z., M.J., K.E.

* * *

Przesyłam na paczki od serca dla polskich jeńców w Niemczech 10 szyl.

Zosiński

* * *

W załączeniu przesyłam m.o. na £1 z przeznaczeniem na "paczki od serca."

Suma powyższa złożona została na moje ręce przez por. J. z dywizjonu bombowego.

Halina Szorc, świetliczarka

* * *

W załączeniu przesyłam £2.10.0 z przeznaczeniem na paczki dla jeńców wojennych w Niemczech. Kwota powyższa została nam wypłacona za pracę malarską w godzinach poza służbowych.

st. szer. H.M.
szer. B.M.

Proszę o przyjęcie dwóch funtów na "paczki od serca" dla kolegów-lotników za kordonem.

Por. pil. J.N.

* * *

W związku z odejściem Dowódcy Pułku na inne stanowisko — zamiast tradycyjnej "lampki wina" — Podofic. Pułku Przeciwpancernego — składają na paczki dla jeńców wojennych w Niemczech £3 /trzy/.

J.S. st. wachm.

* * *

Niniejszym załączam dziesięć szylingów na pomoc dla polskich jeńców w Niemczech zamiast życzeń świątecznych dla najdroższej mi osoby.

bomb. Kazimierz G.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £57.11.6 /słownie pięćdziesiąt siedem funtów, jedenaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,188.11.4 /słownie tysiąc sto osiemdziesiąt osiem funtów, jedenaście szylingów i cztery pensy/ i 50 milrejsów.

W odpowiedzi na list p. Wiktora Budzyńskiego w sprawie pomocy naszym jeńcom w Niemczech, w załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £2 na paczki świąteczne.

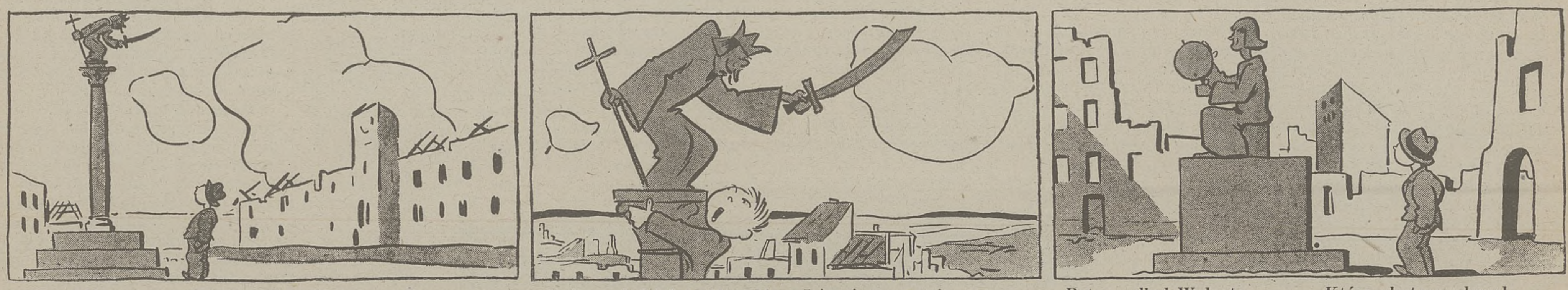
Wiktor Michalski

/Ofiara p. Michalskiego w wysokości £2 przekazana została do Sekcji Pomocy Jeńcom w łącznej kwocie £28.15.6 obejmującej ofiary na "paczki od serca" ogłoszone w numerze 47 "Polski Walczącej."/

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Zasnął Pompka po służbie
I miał sen, jak na jawie.

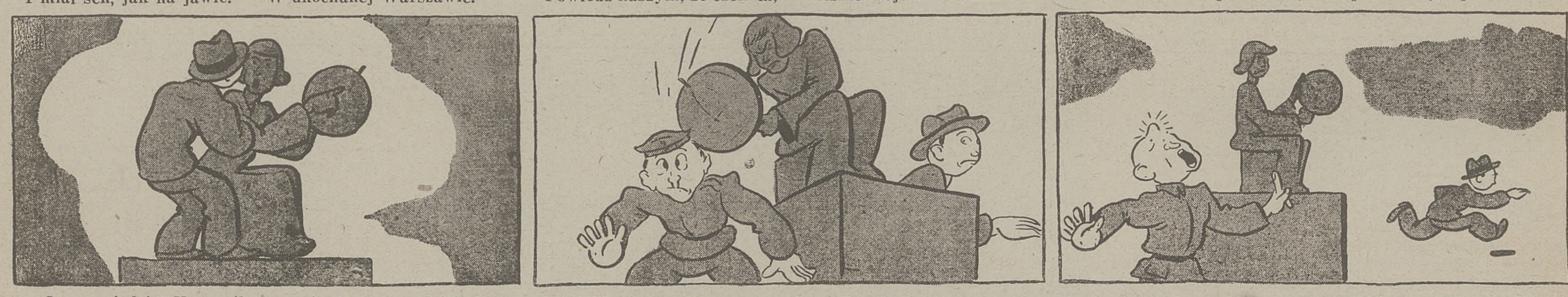
Że z Zygmuntem rozmawia
W ukochanej Warszawie.

Król powiedział do Pompki:
Powiedz naszym, że czekam,

I że pierwszy zobaczę
Polskie wojsko z daleka!

Potem odbył Walenty
Rendez-vous z Kopernikiem,

Który chytrze udawał
Że jest zimnym pomnikiem.



Ja—powiedział Kopernik—
Wasze drogi wciąż znaczę.

Już niedługo wrócicie.
Być nie może inaczej!

Jakiś Niemiec podstępnie
Chciał podsłuchać rozmowę,

Lecz Kopernik globusem
Mocno trzepnął go w głowę.

Krzyk niemiecki sen przerwał
Pełen wielkich emocyj—

A Walenty z powrotem
Frunął z Polski do Szkocji.

RUT BRONISŁAW poszukuje brata JANA. Wiadomości kierować do Redakcji "Polski Walczącej."

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.